WIZERUNKI

I ROZTRZĄSANIA NAUKOWE.

WIZERUNKI

I ROZTRZĄSANIA NAUKOWE.

POCZET NOWY.

TOMIK CZTÉRNASTY.

WILNO.
Józef Zawadzki własnym nakładem.
1837.

Dozwala się drukować, pod tym warunkiem, aby po wydrukowaniu złożone były trzy exemplarze w Komitecie Cenzury. Wilno 1837 d. 28 Marca.

Cenzor L. Borowski.

POEZYA LUDU HOLLENDERSKIEGO.

Znajduje się kraj w bardzo szczupłych granicach ściśniony, który się współ-ubiegał o potęgę z Hiszpaniją Filipa II, i z Francyą Ludwika XIV, kraj złożony z dwóch miljonów mieszkańców, który rozsyłał swoje okręty na świat cały; kraj sztuki, który utworzył szkołę; kraj umiejętności, który sławne uniwersytety posiadał i wzniósł się znamienitémi, przez niezmierne prace, imionami. Dzisiaj kraj ten jest wpółzapomniany. Jednokształtna miara czasów dzisiejszych przeszła ponad nim: jak drugi Samson pochylił on swoję głowę, i pozwolił uciąć sobie swoje długie włosy. Marynarka jego ustąpiła berłu Anglii; jego uniwersytety, lej-

dejski i utrechtski, zblakowały przed niemieckiémi, a jego literatura, pomiędzy nami, drugiego tylko rzędu miejsce zabiéra. Któżby to powiédział ten naród niegdyś tak pyszny i tak uporczywy w swoich przedsięwzięciach, ta ojczyzna reformatorów, wielkoradzców, Gwilhelmów Oranii, Barneweltów; ta zamożna Hollandya, któréj żelazna prawica książęcia Alby nie zdołała pohamować, i któréj wola wielkiego króla nagiąć nie potrafiła, ta Hollandya stała się ofiarą oddziaływania rewolucyi paryzkiéj, uszczuploną została we trzech dniach nawałnicy bruxelskiéj, osławiona w protokołach i zapozwana przed kratki dworów europejskich.

Wszelakoż nie należy kwapić się z sądem miarkując po usterkach, jakich doznała, i po krwawiących się jeszcze ranach, którémi ramiona jéj pokaleczono. Stary lew cofnął się tylko z placu potyczki, ale się on na rękojeści bułatu opiéra, i bez przerażenia, na pęki włóczni wrogów swoich spogląda. Nie mniemamy ażeby wędrownik zwiedzający

bacznie Hollandyą nie oddał winnej sprawiedliwości jéj energii uporczywéj, tudzież duchowi wytrwałości, odznaczającémi ją pomiędzy wszystkiémi ludami. Albowiem nietylko musiała ona zażywać téj energii w wojnach z innémi narody, albo też w epokach klęsk przygodnych; lecz samo przyrodzenie nawet obeszło się z nią surowie: przyrodzenie wystąpiło tu w zapasy z człowiekiem, i przemożnéj tylko potędze jego uległo. Zywioł, który jest główném źrzódłem zamożności Hollendrów, jest oraz dla nich ustawicznych klęsk sprawcą. Woda rozlewająca się w ich kanałach, w rzekach przerzynających łąki, morze dźwigające ich okręty, są tylu wrogami nieprzebłaganémi, przeciwko którym wznoszą się przedmurza, jak gdzie indziéj przeciwko napaści wojska nieprzyjacielskiego. W większéj części Hollandyi położenie gruntu niższe jest od biegu wody; kanały nad powierzchnią płaszczyzn panują, a lud chroni się poza témi tamami, żeby od zalewu się uratować. Bez przestanku czuwać potrzeba nad témi warowniami, albo-

wiem bez przestanku rzeka je podrywa, bez przestanku morze usiłuje wywrócić swoje przekazy, albo pole rybaka ławą piasku zanosi. Jest to walka ciągła, w któréj człowiek i zawistny element, krok za krokiem pole sobie wydziérają; a im jedna strona więcéj ustąpi, druga więcéj sobie przywłaszczy. Na nieszczęście człowiek częstokroć bywa słabszym. Woda podkopuje fundamenta jego pomieszkania, woda ogród jego w jezioro przeistacza, woda coraz daléj na przód postępuje. Straszliwy to jest widok zalewów, jakie się każdego prawie roku przytrafiają, kiedy nieprzewidzianym przypadkiem tama się przerwie. Natychmiast trwoga rozlega się okolicznie; biją na gwałt, a lud się nagle zgromadza. Mężczyzni, niewiasty, dzieci, słowem wszystko co żywo kwapi się z rydlówkami, siekierami, motyką, z pękami faszyn, kołami. Skupiają materyały, biorą się do roboty, pracują we dnie przy świetle słoneczném, w nocy przy pochodniach, aż póki rzeka odpiérana tylu natarczywémi usiłowaniami, poskromiona przez

tyle połączonych ramion nie cofnie się do swojego zwykłego łożyska, ryczącym nurtem swoim zagrażając nową na przyszłość trwogą tym, którzy ją uchodzili.

Owoż wszędzie, gdzie się tylko człowiek znajduje w zapasach bezprzestannych z elementami, nic się w nim tak dzielnie nie rozwija, jak cierpliwość, wytrwałość i niewzruszony upor charakteru. Dla tego to ludy północne są przemyślniejsze i bardziéj niedowierzające aniżeli południowe, albowiem przyrodzenie wystawia je zawsze na twarde proby, i częstokroć oszukiwa. Charakterem wyłącznym Hollendrów jest miłość pracy, wytrwałość: za godło im bardzo właściwie służy, to dawne sztatuderów hasło: *Dotrwam!* a umysł spokojny, wytrzymały, bez okazałości, ale nieugięty Gwilhelma milkliwego, wystawia, jak niepodobna dostateczniéj, powszechnego ducha całego narodu.

Taż sama uwaga zastósować się powinna do dzieł ich sztuki i literatury. Nie potrzeba tam szukać, ani śmiałości myśli, ani

oryginalności. Są to dzieła głębokiéj nauki i hartownéj pracy. Poezya hollenderska okazuje na sobie zawsze pokonaną trudność i erudycyą, a ich najwięksi malarze są to, przed wszystkiém, ludzie obdarzeni cierpliwością, ale cierpliwością taką, która niekiedy cudowne skutki sprawuje. Wiele się także przyczyn przykłada do odebrania Hollandyi charakteru narodowości, jakiby mogła w poezyi rozwinąć, i wszczepienia w nię ducha naśladownictwa. Dla szczupłości przestworu jaki zajmuje, nie może ona sięgać po utrzymanie się w sferze niepodległéj, tudzież posiadanie téj powagi, jaką naturalnie ogromne mocarstwa otrzymują. Przez swój język ma ona stosunek z dawną Germaniją i Anglią. Przez swe położenie jeograficzne, z jednéj strony dotyka się Francyi, z drugiéj Niemiec, i kolejno wpływowi tych dwóch ludów ulega. Niekiedy nawet oba te narody działają na nię wspólnie; przez co jéj literatura staje się pewnym gatunkiem tranzakcyi, pomiędzy romantyzmem niemieckim a francuzkim duchem.

Literatura się ta od dzieł naśladowania i przekładów zaczyna. Najpiérwszy poeta hollenderski Jakób M a e r l a n t siedm języków umiał. Tłumaczył on *Historiam scholasticam* P. C o m m e s t o r'a, *Speculum historiale* Wincentego d e B e a u v a i s, tudzież rozmaite inne księgi. Było to w wieku XIII. Poczya, która się przez długi przeciąg czasu, ze skrzydłami opuszczonémi, z głową zasępioną, utrzymywała wśrzód murów klasztornych, tchnąc niektóre hymny w ich starożytnym cieniu, obudziła się znagła przez pienia wojownicze i miłośne śpiéwy. Młoda nadobna pełna wiary i szczérości, trzyma ona w ręku złotą cytarę, któréj żaden nieczysty powiéw nie skaził. Poważne myśli serca, uczucia bohatyrskie, stróny jéj dziewicze poruszają, a gdy te wydadzą brzmienie, śpiéw harmonijny od południa na północ przechodzi; słuchają go pomarańczowe Prowancyi drzewa, w swém wonném cieniu, a dęby Germanii, w krainie szwabskiéj, rozlegają się jéj echem. Jest to zadziwiająca epoka, w któréj umiejętność cza-

sów dzisiejszych ukazuje się jaśniejąca promieniami, w któréj, pod niebem południowém widzimy rozwijający się ten kwiat poezyi, którego wonie powiéw południowy daleko roznosi. Wtenczas się to krzewią wszystkie te uśmiéchające się utwory, które nas dzisiaj jeszcze urzekają. Wtenczas powietrze, lasy, rzeki, zakąty dolin, pieczary gór, wieże zamków, zaludniają się tłumem genjuszów, które przez tysiące ogniw czarodziejskich, przez tysiące splotów kwiatowych północ ze wschodem jednoczą. Swiat jest młody, napawa się on u źrzódła nieprzerwanych omamień. Roi on, wierzy, śpiéwa. Sylfy rozciągają ponad nim skrzydła swoje przejrzyste, a uroczne wieszczki piérwszémi krokami jego powodują. Wkrótce każde opactwo ma swoję legendę, każdy zamek swoję kronikę, a po pewnym przeciągu czasu, każdy kraj swojego bohatyra, i swojego poetę, który czyny jego znamienite opiéwa. Owoż wtenczas, kiedy Hiszpanija sławę Cyda rozgłasza, Brétanija śpiéwa króla Artura, a Francya Karola W.;

wtenczas, kiedy na północy Walter de Wogelveide idealizuje powaby kobiéty i roskosze miłości, zjawia się Petrarcha, który, przy skałach Wokluzy, dokonywa, jak powiedział inny poeta, swoich kryształowych sonnetów. Dawne się tradycye ożywiają, a nowe się cykle z nowymi poetami tworzą. Mąż, którego miano jest niewiadome, Germaniją *Niebelungen'ami* uposaża, inny pisze historyą mistyczną *Parsiva'la*; inny znowu *Tristana*, ponad nimi zaś wszystkimi unosi się genjusz Danta, z jego *Bozką Komedyą*.

Hollandya się do tego wielkiego poetycznego ruchu przyłączyła; miała ona swój udział w tych wszystkich poematach rycerskich, w tych wszystkich utworach. Miała ona swój romans *Lancelot'a*, *Titurel'a*, *Flor'a Blanchefor'a*, *Cztérech synów Aymond'ów* i swój poemat *Renard'a*. Jeżeli nie wydała, sama przez się, żadnego oryginalnego dzieła, może wszelakoż wymienić, z uczuciem wdzięczności mężów, którzy ją, w owéj epoce, pismami swojémi wsławili. Wten-

czas kiedy Jakób Maerlant przekładał, w stylu poprawnym pisma łacińskie, Melis Stocke pisał swoje kroniki rymowane; Claës Verbrechten dał poznać, w mowie niderlandzkiéj poemata obce, a Jan z Nelu głosił czyny Jana I, książęcia Brabancyi, który sam także dzieło poetyckie zostawił. Od téj to epoki, właściwie mówiąc, datują dla Hollandyi piérwsze prawidła wersyfikacyi, piérwsze postępy języka. Postawionéj raz na téj drodze, wszystko się zdawało jéj wróżyć następstwo kolejne dzieł znamienitych. Ale wiek XIV omylił te nadzieje. Był to czas niezgód cywilnych i klęsk opłakanych. Długie walki, które *Hoekschen'owie* i *Kabeljauwschen'owie* (1) z sobą toczyli, po całym kraju trwogę i zamięszanie rozniosły. Handel, który w ostatnim wieku zaczynał się podnosić w sposób przeważny, przyszedł do stanu zniżenia się i upadku. Prawa i instytucye zatrzymały się

---

(1) *Hoekschen*, hak *Kabeljauwschen*, gatunek ryby morskiéj.

i mury świątyni. Ich bóg najwyższy Odin jest bogiem wojowniczym i krwawym. Wszystkie on swoje zdobycze, z bułatem w ręku, pozyskał; a kiedy się już przez podeszłe lata uczuł osłabionym, zgromadził wszystkich swoich przyjaciół, zadał sobie wkrąg głębokich ran siedm, żelezcem swojéj włóczni, i umarł oświadczając iż się udaje do Scytyi, zająć miejsce pomiędzy bogami, na tych ucztach nieustannych, gdzie są wezwani wszyscy ci, którzy się walecznością w boju odznaczyli (*).

Tak więc ubóztwili oni bohatyrstwo wojownicze, a Skandynawowie dogmatów tych odrzucać nie chcieli. Przetoż, z roskoszą kwapią się oni do boju. Walkiri (**) unoszą

(*) Mallet. *Histoire de Danemark*, t. I.

(**) Nazwanie ich pochodzi od *Kühren* (wybiérać), i przypomina używany też w polszczyznie *Wilkierz*. Unosiły się one ponad polem bitwy, a tych co mieli odnieść zwycięztwo i co mieli poledz wybiérały. Walkiri także w Valhalli miód bohatyróm nalewały. Walkiri nie były wszystkie dziewicami niebieskiémi; znajdowały się pomiędzy nié-

się ponad nimi i prowadzą ich wśrzód zgiełku i wrzawy wojennych zapasów. Jeżeli powracają zwyciężcami, opowiadają z pychą, ilu nieprzyjaciół pozabijali, ile krwi wytoczyli! Jeżeli polegną, śmierć się do nich, jak oblubienica uśmiécha, ciała zaś ich grzebią, z ich wojennym rynsztunkiem i rumakami; albowiem w Valhalli najwyższą ich szczęśliwością będzie, bić się wiecznie i nie zostać ranionymi, czerpać miód z beczki, która się wiecznie wypróżniać nie może i dzielić pomiędzy siebie mięso dzika, które codziennie się rozdaje biesiadnikóm, a zawsze się nietkniętém okazuje.

Najwięcéj się przyczyniło do utrzymania, pomiędzy nimi, téj czci do wojennych zapasów, téj żądzy niebezpiecznych i nadzwyczajnych przygód, to, że w każdéj rodzinie syn tylko starszy puściznę po ojcu dziedziczył. Dla

---

mi takie, które na ziemi przemieszkiwały. Brinnhild, jedna z bohatyrek *Niebelungen'ów*, była Walkirą, i trzy młode dziewice, które Wieland-Kowal napotkał, z dwoma braćmi, były podobnież Walkirami. (Ob. *Wilkina-Saga*.)

owego stronnictwa. Orężem ich były epigrammata, piosnki, komedye grubijańskie. Tak tedy toczyły one wojnę szyderstwem i obelgami, którą lud mieczem i rusznicą utrzymywał; i niejednokrotnie te podjazdy poetyckie do jątrzenia i posilania zawziętości popularnéj pomiędzy miastami dopomagały. W czasie wojny *Hoekschen'ow* i *Kabeljauwschen'ow*, kiedy umysły najjadowiciéj były rozjątrzone, książę Burgundyi musiał obwieścić edykt zabraniający izbóm retoryki napaści zbyt obelżywych przeciwko jednemu lub drugiemu stronnictwu. W XVI wieku wspiérały i utrzymywały one sprawę reformacyi lepiéj aniżeliby tego predykatorowie dokazać mogli. Sprawa dogmatów protestanizmu odbywała się na teatrach, a lud kupił się na widowiska, gdzie mu wystawiano okrucieństwa książęcia Alby, morderstwo bruxelskie, i głowę książęcia *d'Egmont*, pod toporem oprawcy spadającą.

Pod względem literackim, towarzystwa te bynajmniéj celu swojego nie dostąpiły. Składały się bowiem, po większéj części,

z ludzi mało co obeznanych z naukami, którzy bynajmniéj ruchu rzetelnego poezyi nie pojmowali. Zamiast dopomagania umysłowi pisarzów i wspiérania lotu jego śmiałych uniesień, drobiły, w niejaki sposób, usiłowanie pojętności, przywodząc cały poetycki zapał do błahych proporcyj powieści wiérszowanéj albo piosnki. Potém, towarzystwa te potworzyły się w takiéj epoce, kiedy język i literatura hollenderska nie nabrały jeszcze dosyć rozwinięcia, ażeby się własném życiem utrzymać i właściwy zachować sobie charakter. W niedostatku dzieł narodowych zdatnych im za wzór i powagę posługiwać, izby retoryczne uciekały się do pism innych narodów. Wprowadziły one do poezyi swojego kraju pożyczone wyrażenia i prawidła, wznosząc budowę literatury hollenderskiéj na obcych podwalinach.

Ale wiek XVI przybywał poprzedzony wynalazkiem druku, przynosząc oraz z sobą reformę religijną społem z zasadami swobód czasów nowszych. Wiadome są powszechnie te krwawe zapasy, w jakie Niderlandy wda-

ne były z Hiszpaniją. Komuż tajno, z jaką wytrwałością Protestanci Prowincyj-Zjednoczonych opiérali się despotyzmowi Filipa II, i dyktaturze książęcia Alby? jak wytrzymali, nie zmieniając postanowienia, pożogę i łupieztwo, nędzę i prześladowanie, i jak nakoniec bohatyrstwo to skruszyło jarzmo, które ich gnębiło, przeistaczając prowincyą hiszpańską na rzeczpospolitą niepodległą, mającą na czele męża, który był piérwszą sprężyną i naczelnikiem téj rewolucyi, Wilhelma Oranii milkliwym zwanego.

Wśrzód tych wypadków politycznych umiejętność i literatura hollenderska nabiérają śmiałości, i wznoszą się lotem górnym. Erazm rozwija tę bystrość dowcipu, te skarby erudycyi, które imie jego tak popularném uczyniły. Popędliwy Coornhert oddycha po wojnach protestańskich, tłumacząc najpiękniejsze uczonéj starożytności dzieła. Marnix pisze swoje satyry religijne; Visscher i Spieghel pracują obadwaj, dając prawidła i wzory, nad ukształceniem języka hollenderskie-

go, i nad nadaniem jego poezyi téj wytworności kształtów jakiéj dotąd nie miała. Bor ogłasza swoję *Historyą Niderlandów*, Plantin swój skarbiec języka teutońskiego (*Thesaurus teutonicae linguae*), a miasto Leyda, nad uwolnienie się od poborów założenie u siebie uniwersytetu przenosi. Owo wtąż nadchodzi epoka klassyczna Hollandyi; zjawia się Hooft ukształcony w szkole autorów starożytnych i pisarzów włoskich; Hooft poeta i prozator, który stworzył tragedyą hollenderską, i z rzadkim talentem, historyą swojego kraju pisał; Vondel którego Hollendrowie Szekspirem swoim mienią; Jakób Cats, poeta moralny i dydaktyczny, którego się dzieła, obok Biblii, dzisiaj jeszcze, w każdéj familii, mieszczą; Huygens, który, zbiór satyr i poematów opisowych, na niepoślednią zasługujących uwagę, ogłosił; Kamphuizen, poeta tkliwy i melancholiczny owéj epoki; Decker, Anslo, Westerbaan, Piotr z Grootu, syn Grocyusza, którzy poezyą z powodzeniem doskonalili.

Było to na początku siedmnastego wieku: przez lat pięćdziesiąt literatura hollenderska we wzroście swoim postępowała. Lud się z pychą na powodzenie jéj zapatrywał, inne się narody jéj uczyły; a tak uciekając się przez czas długi do wzorów obcych, sama nakoniec Hollandya wzorem dla Niemców została.

Lecz wkrótce duch ten narodowy słabnie i ustaje. Wpływ obcy nanowo władzę swoję odzyskiwa. Świetność wieku Ludwika XIV omracza pisarzów hollenderskich, równie jak angielskich i niemieckich. W téj epoce, powiedzieć można, że cała Europa posłuszna była jednemu i temuż samemu w literaturze natchnieniu, i jednostajnym gościńcem postępowała. Rasyn nietylko był wielkim poetą w Wersalu, był nim także w Londynie, Lipsku, Hadze, Madrycie. Każdy naród genjusz jego ubóztwiał; a kiedy Boileau stanowił wyroki swoje w krytyce, Boileau do całego świata przemawiał. Gottsched mu za echo na północy posługiwał, Metastazyusz przyklaskiwał mu

we Włoszech, Addisson zaś w Anglii go uwielbiał. Po odwołaniu edyktu nantejskiego wielka liczba familij protestańskich uciekła się do Hollandyi, przyczyniając się bardziéj jeszcze do upowszechnienia, w tym kraju, znajomości języka i gustu literatury francuzkiéj. Od tego czasu, wszystko się w ojczyźnie Hooft'ów i Vondel'ów przemieniło. Zapomniano o usiłowaniach przedsiębranych przez mężów siedmnastego wieku, ażeby nadadź literaturze hollenderskiéj charakter narodowy. Wzięto się da naśladowania pisarzów francuzkich, a ta praca niewolnicza gięła się zawsze do formy, rzadko zaś do myśli. Poezya zstąpiła ze swoich niebieskich wyszyn i wcieliła się w materyą. Niewymagano już od niéj tego natchnionego języka, téj wymowy tkliwéj i bohatyrskiéj, któréj starożytność z podziwiéniem słuchała, wiek zaś śrzedni unosił się nad nią z zapałem. Włożono jéj na głowę perukę nastrzępioną puklami, przywdziano wyszywany złotem ubiór, dano karbowane mankiety i kołnierzyk z koronek; w takim

tedy stroju przydwornym, biédna muza, zapominając na swoję dawną swobodę, przykładała się do szukania kombinacyj stylu sztucznego, zwrotu harmonijnych frazesów, a na miejsce uczucia przybrała koloryt, za poetycką zaś ideę wzięła wyrażenie nadęte i spady wymierzone pół-wiérsza. Przez długi przeciąg czasu cała literatura hollenderska do jednego poziomu zrównoważona została, i wśrzód wielkiéj dzieł liczby niemających żadnéj wartości, zaledwo przytoczyć można niektóre imiona tylko godne zachowania w pamięci, jakiemi są: Hoogvliet, autor *Abrahama*; Huydecoper bardziéj grammatyk niż poeta, i Haren, który *Przygody Friza* opiéwał. Przy końcu to ledwo XVIII wieku Hollandya zrzuciła z siebie jarzmo tego naśladownictwa w poezyi. Nauka literatury angielskiéj i niemieckiéj wskazała jéj nową do postępowania drogę; a Bilderdijck, Feith, Tollens, Kinker, Helmers, byli apostołami téj nowéj szkoły nowoczesnéj tego romantyzmu poetyckiego, który całą Europę ogarnął.

Czytelnik przebaczy nam, żeśmy tak szybkim przelotem dzieje téj literatury przejrzeli. Zamiarem bowiem jest naszym, nie zatrzymanie się nad roztrząsaniem dzieł sztuki, właściwie tak mianowanych, ale szukanie, poza poezyą wytworną, uczoną, oklaskaną, poza poezyą wielkiego świata, pozioméj poezyi gminnéj, która żyje nieznana, i na ustroniu się, jak skromny kwiatek polny, rozwija. Mamyż powiedzieć? Jeżeli w innych krajach poezya ta zajmuje miejsce podrzędne i ukryte w cieniu, w Hollandyi zdaje się bydź bardziéj interesującą, bardziéj oryginalną, dzielniejszém nadaną życiem, aniżeli ta, którą towarzystwa amszterdamskie wieńczą nagrodami. Ta utrzymuje się w czerstwości, wtenczas, kiedy tamta wpada w stan wyniszczenia. Odbija ona w swojém stalowém źwierciadle wypadki każdéj epoki, tudzież charakter właściwy każdemu zdarzeniu wydaje. Posiada ona duszę religijną, a entuzyazm wojowniczy. Nosi ona z kolei, to wieniec kwiatowy, to hartowną zbroję; a jéj ręka równie zdolna

jest poruszać strόny mandoliny, pod oknami młodéj piękności, jak dźwigać rusznicy brzemie, na polu bitwy. Jeżeli się jéj nastręczy historya romansowa, wnet ją sobie przywłaszcza; jeżeli czyn chwalebny, opiéwa go zaraz; jeżeli bohatyr natychmiast go ubóztwia. Wierna tłumaczka ludu wszędzie za ludem postępuje, w zapasach i cierpieniach, w godzinach wesołéj uciechy i w dniach tryumfu. Onato przyjęła z wykrzyknieniem zasady religijne; ona cisnęła klątwę na książęcia Alby; ona śmierć książęcia d'Egmont i hrabiego Horn'a opłakała.

Śpiéwy ludu hollenderskiego w bardzo się wielkiéj liczbie znajdują. Zawiéra się ich część znaczna w zbiorach znanych pod nazwaniem *Blauwboeckjes* (*księgi błękitne*), tudzież w niektórych innych dziełach. Lecz nierównie większą ilość mieszczą w sobie rękopisma, i wiele razy tylko drabowano biblioteki w Hadze, Amszterdamie, tudzież w innych miastach, zawsze, w tym rodzaju, coś nowego wynaleziono. P. Le Jeune

bardzo interesującą książkę o téj poezyi ogłosił; lecz w tém się bardzo pomylił, iż do pieśni prawdziwie popularnych przymieszał wiele takich kompozycyj, które nigdy po ten tytuł sięgać nie mogły (*). Najlepsze dzieło, które się o tym przedmiocie znajduje, wydał P. Hoffmann v. Fallersleben professor we Wrocławiu. P. v. Fallersleben uczył się poezyi hollenderskiéj w saméjże Hollandyi. Pozabiérał on stosunki z uczonymi tam krajowcami, przeniknął do najtajniejszych archiwów bibliotecznych, a po pracy cierpliwéj i wytrwałéj, dwie księgi ogłosił, jedna z nich w języku łacińskim, wystawia wskazy bibliograficzne najistotniejsze o dawnych poetach hollenderskich, druga jest zbiorem pieśni popularnych z textem hollenderskim, notami niemieckiémi objaśnionym (**).

(*) *Proeven van nederlandsche volkszangen sedert de XVe eeuw*, przez P. Le Jeune. Haga 1828.

(**) *Horae belgicae*. Pars prima. Breslau 1830. Pars secunda 1833.

Poezya popularna hollenderska głębokiéj nader przeszłości zasięga, największa część dziejów, które wykréśla, ma początek bardzo daleki; opowiadano je w téj chwili zaraz kiedy się odprawiły, a niekiedy i w czasie poźniejszym; lecz rozmaite pienia, które nam pozostały, za wiek XV nie sięgają. Poezya ta podzielić się może na dwie części: pienia religijne, i pienia świeckie. Uczenie się piérwszych jest ciekawe, ponieważ one umieszczają w sobie wyraz epoki katolicyzmu abstrakcyjnego i oddanego rozmyślaniu. Wszystko to, czegokolwiek Taule-r'owie, Suso'wie, Ruysbroeck'owie, tudzież inni mistycy XIV i XV wieku zamyślili nauczać, znajduje się tu, z wiernością oddane. Pokazuje się, że nauka mistyczna zwolna się pomiędzy lud pospolity wcisnęła, który z upodobaniem powtarzał to w swoich śpiewach, co mu w kościołach opowiadano. Ale to rzeczą jest osobliwszą widzieć, aż do jakiego stopnia posuwa się ten mistycyzm, jak on symbolizuje swoje pojęcia, jak jest wyrafinowany w swojém wyznaniu wiary,

a razem jak w téj wyrafinowanéj wykwintności jest prostoduszny. Przetoż nigdy on nie wystawia swojéj idei tak, jak ją czuje, zawsze mu allegoryi potrzeba, którą żeby wynaleźć, zstępuje ze swoich górnych wyszyn do rzeczywistości życia pospolitego. U niego krzyż jest drzewem majowym kwitnącym dla zbawienia świata. Na tém drzewie usiada słowik zakochany w młodéj dziewicy, wzdycha on, jęczy, schnie z tęsknoty dla niéj i umiéra. Tym słowikiem jest Jezus Chrystus; młodą dziewicą jest kościół chrześcijański. Prawie zawsze Chrystus bywa wystawiony jako młodzieniec, do którego dusze wiernych wzdychają. Niekiedy nawet symbol daléj się posuwa: Chrystus wychodzi wieczorną dobą i ściga dusze, które przeniknione żądzą zbawienia, użalają się i cierpią. Jedna z nich woła: «O Maryo strzeż swojego syna, widzisz jak on nad sercami młodych dziewic panuje!» Inna znowu odzywa się do niego: «Ach Jezu! przez twoje czarne oczy, pozbawiasz mię zmysłów. Będę się skarżyła Maryi za te

udręczenia, jakich przez ciebie doznaję!» Na co Jezus odpowiada: «Tak, użalaj się sobie przed moją matką, ale ja się zemszczę. Natchnę serce twoje miłością, która je rozerwie.»

Wszyscy ci poetowie wystawują miłość religijną w tych samych obrazach co i miłość światową, umieszczając ją w podobnychże okolicznościach i stosunkach. Dusza wierna wyobraża sobie Jezusa swojego oblubieńca, jako istotę zmysłową; ona się smuci i usycha z tęsknoty. Wzdycha do mówienia z nim i do zbliżenia się ku niemu. Chciałaby ona wywabić uśmiéch na jego oblicze, zwrócić na siebie jego wejrzenia, przytulić się ku niemu i złożyć pocałowanie miłośne na jego czole i na jagodach oblicza jego. Świat dla niéj jest ciężarem. Roskosze tłumne ją utrudzają; o jednym ona tylko jedynie przedmiocie rozmyśla, z jedną tylko myślą rozmawia, i jak mistyczna zakonnica w Utrechcie, woła: «Miłość nadchodzi, miłość przybywa, miłość się zatrzymuje, miłość śpiéwa, miłość odpoczywa

w miłości, miłość zasypia, miłość czuwa, miłość wszystkiego zapomnienie sprawuje.»

Tenże się sam mistycyzm zawiéra i w pieniach Boga-Rodzicy poświęconych. Poeta, do jéj odmalowania, używa wszystkich wyrażeń najmetaforyczniejszych i przenośni najpospolitszych życia powszedniego. Jest to gwiazda poranna, jest to ocean łask nieprzebranych, jest tó kotwica bezpieczeństwa, nakoniec jest to młoda białogłowa, unosząca na ręku dziecię swe do Egiptu i zbiérająca dla niego, po drodze, daktyle. Wiadomo jest, że mistycy śrzedniego wieku największe mieli upodobanie w idealizowaniu wizerunku przeczystéj dziewicy. W ich myśli stawała się ona królową świata, przedmiotem powszechnéj czułości. Sam Chrystus jest jéj uległy, czeka on na jéj rozkazy, stając się jéj, jak syn matce swojéj, posłusznym.

Potrzeba jeszcze uważać, w tym ciągu pieśni religijnych, te mianowicie, w których Chrystus jest wystawiony ze wszystkiémi szczegółami życia ludzkiego, z całą tą do-

broduszności otwartą dawnych malarzy. Czasami Jezus zabawia się, w swojéj kolebce cackami, które mu znoszą; czasami matka przyspasabia dla niego kąpiel, a Św. Józef z osłem swoim prowadzi rozmowę. Przedziwna szczérota tych umysłów śrzedniego wieku! które, ażeby się bardziéj przybliżyć do bóztwa, piędzią je swoją mierzyli, czyniąc niejako podobném do siebie, przez narzucenie mu swych cierpień i dziejów swojego żywota.

Jedno pienie, które najdokładniéj maluje ten charakter mistycyzmu, cośmy go skréślić zaprobowali, ma za tytuł: *Córka Sułtana*. Było ono w pewnéj epoce nader popularném, albowiem się po wszystkich stronach północy rozległo: sprawim, jak się zdaje, przyjemność czytelnikóm naszym, przywodząc je tutaj w całkowitéj zupełności.

CÓRKA SUŁTANA.

«Słuchajcie wy wszyscy, którzyście pełni miłości, zaśpiéwam dla was piosnkę kocha-

nia i zgody, piosnkę wielkie i piękne rzeczy zwiastującą. Córka pewnego sułtana zrodzona w ziemi pogańskiéj, wyszła, jednego dnia, o wschodzie jutrzeńki do ogrodu.

«Zbiérała ona wszelkiego rodzaju kwiatki, ktore się rozwijały przed jéj oczyma, i mówiła do siebie: — Któż to mógł porobić te kwiatki, i z takim wdziękiem piękne ich listki powykrawać? Oh! jakżebym chciała go widzieć!

«Kocham go, już w głębi mojego serca. I gdybym wiedziała gdzie go znaleźć, porzuciłabym królestwo mojego rodzica, a udała się za nim. Otoż, o północy przybywa Jezus i woła: — Młoda dziewico otwórz! Zrywa się ona z łóżka i śpiésznie otwiéra.

«Otwiéra okno i postrzega najsłodszego Jezusa jaśniejącego urodą. Pogląda nań z czułością, potém nachylając się przed nim rzecze: — Skądże to przybywasz o szlachetny i wspaniały młodzieńcze?

«Jakież jest serce któreby nie pałało ku tobie, takiś bowiem nadobny! — A ja młoda dziewico znam ciebie, znam twoję miłość,

dowiedz się tedy kto jestem: ja to postwarzałem te piękne kwiatki.

— Czyś to ty przemożny Panie, moja miłości, mój ulubiony? Jakżeż przez czas długi szukałam ciebie! a teraz kiedyś tu przybył, nic nie ma coby mię zatrzymać zdołało. Pójdę za tobą wszędzie. Niech twoja piękna prawica wiedzie mię tam, gdzie tylko zechcesz.

— Młoda dziewico, jeżeli chcesz iśdź za mną, potrzeba wszystko porzucić, twojego rodzica, twoje dostatki i twój pałac. — Piękność twoja droższą jest dla mnie, aniżeli to wszystko. Ciebiem tylko jednego wybrała; ciebie tylko jedynie nad wszystko miłuję. Nic nie masz, na całéj ziemi, równie jak ty nadobnego.

«Pozwól mi więc pójśdź za tobą, gdzie tylko zechcesz. Serce moje nakazuje mi kochać ciebie, i chcę bydź twoją. — Wziął On młodą dziewicę za rękę. Opuściła ona kraj pogański, a poszli razem przez pola i łąki.

«Po drodze rozmawiali wesoło z sobą,

a młoda dziewica zapytała go o imie. — Moje imie rzecze jest cudowne, mocą swoją ulecza ono serca schorzałe. Możesz je wyczytać w tronie wyniosłym mojego Ojca.

«Oddaj mi całą twoję miłość, poświęć mi twoje zmysły i twojego ducha. Imie moje jest Jezus: ci którzy mię kochają, znają je dobrze. — Ona spójrzała nań z czułością i schylając się do kolan jego, poprzysięgła mu wierność.

«Któż jest, kto twój ojciec, o mój oblubieńcze? przebacz mi to pytanie. — Mój Ojciec jest bardzo możny. Niebiosa i ziemia słuchają skinienia jego. Człowiek, słońce, gwiazdy cześć mu winną przynoszą.

«Miljon aniołów korzy się przed jego tronem spuszczając na dół oczy. — Jeżeli twój Ojciec jest tak wszechmocny i tak nad wszystkich nas wzniesiony, mój oblubieńcze, któż jest twoja matka?

— Nigdy nie było na świecie niewiasty równie przeczystéj. Stała się ona rodzicielką sposobem cudownym, nieprzestając bydź niepokalaną dziewicą. — Ah! jeżeli twoja

matka jest tak piękna i tak przeczysta, z jakiegoż więc przybywasz kraju?

— Przychodzę z królestwa mojego Ojca, gdzie wszystko jest roskoszą, pięknością, cnotą; tam tysiące lat jak dzień jeden upływa, drugie tysiące lat pełne swobody, spokojności, błogiego bytu, po nich nastają.

— Panie, jakichże się cudów dowiaduję od ciebie! Śpieszmy tedy, o mój królu, śpieszmy do przybytku twojego Ojca! — Pozostań w czystości i prawdzie, a ja dam tobie moje królestwo, w którém będziesz żyła na wieki.

«Tak odbywali ciągle swoję podróż, przez pola i łąki, aż zbliżyli się pod klasztor, do którego Jezus chciał wstąpić. — Niestetyż! powiedziała, chceszże mię opuścić? Jeżeli nie usłyszę twojego słodkiego głosu, bez przestanku będę marnieć i usychać!

— Czekaj mię tutaj, potrzeba mi wstąpić do tego domu. — Wchodzi, a ona pozostaje u drzwi i czeka; lecz kiedy go już nie ogląda, łzy miłości płyną strumieniem po jéj twarzy.

«Dzień upływa; wieczór nadchodzi, ona czeka jeszcze; ale jéj oblubieniec nie przybywa. Wtenczas zbliża się do drzwi klasztornych i puka, i woła: Oh!, otwórzcie mi; oblubieniec mój jest tutaj.

«Furtyan otwiéra i spogląda na tę młodą dziewicę, tak nadobną i tak okazałą. — Czego chcesz? rzecze. Przecz sama jedna tu przybywasz? Co znaczą te łzy? Powiedz mi o twoich troskach?

— Przebóg! ten któregom tak czule ukochała, opuścił mię. Wszedł on do tego domu; i długo, długo już nań oczekiwam. Powiedz mu, ażeby wyszedł, powiedz niech pośpieszy ku mnie piérwéj niż się serce moje spęka; albowiem on jest oblubieńcem moim.

— Młoda dziewico, ten, który ciebie opuścił, nie wstępował tutaj; nie wiém kto jest twoim oblubieńcem. W oczym go nie widział.

— Mój ojcze, za co ukrywać go chcesz przede mną? Oblubieniec mój jest tutaj; opuszczając mię, sam powiedział: Zachodzę do tego domu.

— Ale powiedz mi jakże się on mianuje? a będę wiedział, zali mi jest znany. — Niestety! nie mogę ci tego powiedzieć; zapomniałam jego imienia. Ale jest to syn królewski: jego mocarstwo jest niezmierne; szatę ma na sobie z niebieskiego błękitu, gwiazdami usianą.

«Oblicze jego jest białe i różane, włosy światłe, złocistéj barwy, a cała jego natura, tak jest cudowna i słodka, iż nic się w świecie podobnego do niéj nie znajdzie. Przybywał on z królestwa swojego Ojca, i chciał mię z sobą poprowadzić. Ale się niestety! sam oddalił.

«Ojciec jego trzyma berło niebios i ziemi; jego matka jest najpiękniejsza i najczystsza dziewica. — Ah! zawołał furtyan, to jest Jezus, Pan nasz dobrotliwy. — Tak mój ojcze; jego to ja miłuję, jego szukam.

— Dobrze więc młoda dziewico; jeżeli to jest twój oblubieniec, ukażę ci jego. Pójdź, pójdź; stanęłaś już u kresu swojéj podróży. Wejdź pod dach nasz, o młoda

oblubienico! i powiédz mi zkąd przybywasz? zapewne z obcéj ziemi?

— Jestem córką królewską. Wychowałam się w przepychu i wielkościach, a opuściłam wszystko dla tego, którego nad wszystko miłuję. — Znajdziesz więcéj aniżeliś opuściła, przy tym od którego wszelkie dobro pochodzi, przy Jezusie twoim oblubieńcu.

«Wejdź zatém i słuchaj mojéj rady. Ja ciebie do Jezusa zaprowadzę, ale wyrzecz się wszelkich wielkości pogańskich, wyrzecz się czułości twojego rodzica, zapomnij o twojéj ziemi pogańskiéj; albowiem, odtąd, chrześcijanką zostać powinnaś.

— Tak mój ojcze, radom się twoim powierzam. Moja miłość jest najdroższą dla mnie, i żadna dla niéj ofiara ustraszyć mię nie zdoła. Wtenczas zakonnik naucza ją prawdziwéj wiary i prawa Bozkiego. Opowiada jéj święte dzieje Jezusa Chrystusa, od jego narodzenia aż do śmierci krzyżowéj.

«Młoda dziewica poświęciła duszę swoję

Bogu: pałała wielką żądzą oglądania Jezusa Chrystusa swojego oblubieńca, i długo, długo nań czekała; lecz kiedy była blizką zgonu, Jezus się jéj ukazał.

«Wziął ją łagodnie za rękę, i do swojego pięknego królestwa zaprowadził. Tamto została ona królową; kosztuje wszelkich roskoszy, jakich tylko serce jéj zapragnąć może, a tysiące lat, jak dzień jeden, dla niéj upływają.»

Inne pienia popularne składają się, po większéj części, z piosnek w stowarzyszeniach nuconych, natury twardéj i grubijańskiéj, po większéj części, z pieśni wojennych odnoszących się do czasów reformacyi, tudzież z ballad rycerskich. Ballady te wielki stosunek z niemieckiémi okazują: tak bowiem jedne jak drugie, z jednostajnych źrzódeł wypływają; ale niewiadomo, któremu z krajów przypisać je należy. Rzeczą jest podobną do prawdy, że Hollandya wiele ich utworzyła; większa zaś część oczywiście do Niemiec należy. Tam to nade wszystko objawia się i rozwija duch smutnego

dumania i tkliwych uczuć człowiekowi północnemu wrodzonych. W tych balladach miłość nie jest przystrojona w te świetne barwy, jakich jéj poezya południowa użycza. Ma ona czoło zamyślone i wejrzenie melancholiczne. Niebo błękitne miesiąca maja zawsze na nię niejaką mgłę rzuca, drzewa lasów ze smutkiem ku niéj konary swoje nachylają, a szmer zdrojów w jéj się uszach nakształt westchnienia obłędnego odzywa. W jéj uciechach nawet łzy się ukrywają: w godzinach uniesienia dręczy ją bolesne przeczucie; do jéj mirtowego wieńca mieszają się powiędłe kwiaty. W tym samym czasie jest oną tkliwą i wierną, pełną poświęcenia się i zapomnienia o sobie; usycha przez długi lat przeciąg, nie skarżąc się bynajmniéj. W niezmierności żądz swoich, posila się promykiem nadziei, jak ocean źdźbłem trawy. Wierzy ona i czeka; jestli oszukana? z gotowością na los wszelki czeka jeszcze. Znajduje się ballada niemiecka, która przedziwnie wyraża tę milczącą nadzieję, tę cierpliwość niewyczerpaną mi-

łości: opowiadano mi ją na dolinie badeńskiéj, ja także ją chcę opowiedzieć. — Pewny rycerz odjeżdżał na wojnę krzyżową. Młoda dziewica jego kochanka, przeprowadza go na pewną odległość od swojego domu; potém rozstaje się z nią i uściskając rzecze: «Przyjdź tu po trzech latach i czekaj na mnie; zobaczymy się z sobą w tém samém miejscu, gdzie się teraz żegnamy.» Młoda dziewica pogrąża się w samotności; a po trzech latach pośpiésza na tę drogę, gdzie się rozłączyła z rycerzem. Upatruje na wszystkie strony; czeka, długie dni i nocy przepędza. Nakoniec biédna dziewica wpada w chorobę ze smutku i w kwiat się przeobraża. Jest to ten sam kwiat błękitny, który Niemcy *Wegwarten* nazywają; rośnie on przy gościńcach i piękną swą głowę ku zakątóm drogi pochyla, zdając się czekać na wędrowca, i mówić doń kiedy przemija: «Patrzaj owom tu!»

Pienia popularne hollenderskie mogą iśdź o piérwszą z niemieckiémi, co do głębokiego i pełnego wdzięku uczucia, z jakim mi-

łość wystawują. Poza Skaldą, równie jak poza Renem, miłość całą jedna myśl pochłania, jedno dumanie idealne. Nie masz dla niéj, ani pór odmiennych roku, ani odległości, ani czasu. Pociągniona swojémi marzeniami, zapomina ona o zwykłéj rachubie życia, i rzuca się za krańce przestrzeni i czasu. Jeżeli potrzeba żeby się poświęciła, zawsze jest do tego przygotowana; trzebali żeby umarła? przyjmuje śmierć z roskoszą; albowiém jéj otuchy nie krzewią się na tym świecie, a jéj przyszłość jest gdzie indziéj. Kobiéta któréj niepokonana przeszkoda zabrania odpowiedzieć miłości kochanego mężczyzny, przy ostatniém rozstaniu się mówi do niego: «Będę twoją narzeczoną na ziemi, a małżeństwo nasze spełni się w niebie.» Młoda dziewica skazuje się na przepędzenie lat siedmiu w chałupie trędowatego i czekać tam na kochanka. Inna wychodzi ze swojego zamku, wieczorem, na spotkanie ulubionego, i porwana przez karła zostaje. Kochanek jej przybywa i znajdując tylko jéj obsłonę, mniema że umarła i sam

się zabija: ona także śmierć sobie zadaje, dla połączenia się z nim w innym świecie. Trzy młode dziewice idą, zimową porą, boso po śniegu; rozmawiają o swém kochaniu, i nie czują zimna. Jedna z nich płacze, albowiem kochanek jéj umarł: inne ją namawiają ażeby sobie wybrała drugiego; ale się ona odzywa: «Oh! nie; nigdy roskosz do mojego serca nie wejdzie. Oh! nie; nigdy już innéj miłości czuć nie zdołam! Żegnam was; pójdę umrzeć pod tą samą lipą, pod którą kochanek mój życia dokonał.» — Kobiéta siedzi przy drodze, z twarzą ukrytą w dłoniach, z oczyma łez pełnémi. Przejeżdża rycerz i zapytuje, dla czego płacze? «Niestety! czekam od lat siedmiu na tego, którego kocham, i nie mam o nim żadnéj wieści! «Ja go znam zawoła rycerz; znajduje się on w Zelandyi; kocha się w wielu kobiétach, i wiele kobiét kocha go także wzajemnie!» Nieszczęśliwa nie podnosi żadnego narzekania, nie czyni żadnych wyrzutów. — «Oh! żebyż on był przynajmniéj szczęśliwym, rzecze; bogdajby te, które on

kocha równéjże szczęśliwości doznały! niechaj im tyle przybędzie szczęścia, ile jest gwiazd na niebie!» Rycerz ofiaruje jéj łańcuch złoty chcąc ją uwieśdź. Ale ona odrzuca ze wzgardą te ofiary. — «Gdybyś mi dał łańcuch ze złota tak wielki, żeby ten sięgał od niebios do ziemi, nie zachwiejesz nigdy méj wierności ku temu, któregom ukochała, i na którego przez lat siedm oczekuję.»

Drugim charakterem odznaczającym te ballady jest cześć piękności, która się w nich objawia, wraz z uczuciem rycerskiego honoru tam wyrażoném. Wszędzie, gdzie się tylko piękność ukaże, różnica dostojeństw znika. Rycerz zaślubia córkę wieśniaka; margraw prowadzi do swojego zamku światłowłosą dziewczynę, córkę swojego poddanego: ta która dnia wczorajszego jeszcze pasła trzodę w polu, zrzuca swoję odzież pastuszą, zostaje królową; a nawet sami dumni baronowie przyznają jéj dostojność monarchini, uznając tę dostojność w powabach jéj uśmiechu i w słodkim jéj oczu

wyrazie. Ale, w tymże samym czasie, ci ludzie którzy przed pięknością padają na kolana i naginają z pokorą czoła, pod rękę młodéj dziewicy, ci ludzie powstają z dumą na widok współzawodnika; i jeżeli doznają znieważenia, nieugięci są w swojém zagniewaniu, nieubłagani w zemście. Najsławniejsza, w tym rodzaju ballada jest, o hrabim *Florisie*. Uwiódł on małżonkę *Gerarda de Velsen* i *Gerard* go zabija, lecz po niejakim czasie, przyjaciele hrabiego *Florisa* chcą się pomścić jego śmierci; porywają jego wroga, dręczą go, zamykają w beczce nabitéj gwoździami; potém go się z krwawą ironiją zapytują: «Jak się tobie powodzi teraz o Wielki-*Gerardzie?*» A *Gerard* im odpowiada: «Jestem takimże samym, jakim byłem, kiedy moja prawica śmierć waszemu przyjacielowi *Florisowi* zadała!»

Owo jeszcze dwie ballady zdające mi się wystawiać dosyć dostatecznie charakter powszechny tych pieśni popularnych. Jedna z nich podobna jest do niepewnego echa tradycyi starożytnéj o *Heronie* i *Leandrze*,

ale nie potrzeba tutaj szukać, ani wdzięku poematu muzeuszowego, ani świetnego kolorytu *Marlowa*. Przechodząc na północ wyzuła się ona ze swoich obsłon greckich, a popularyzując się zstąpiła do poziomu tradycyi gminnéj. Druga ballada pod tytułem *Porwanie*, wystawia społem, w obrazach grubych, z jednéj strony przeszkodę miłości, a z drugiéj ducha zemsty, o którymeśmy napomknęli.

DWOJE DZIECI KRÓLEWSKICH.

«Było dwoje dzieci królewskich kochających się czule, ale się nie mogli z sobą widywać, albowiem rzeką głęboką od siebie przedzieléni byli.

«Pewnego wieczora, młoda dziewica stawi na brzegu rzeki trzy światła, któreby jéj kochankowi przewodniczyć mogły.

«Ale stara baba, baba złośliwa, pogasiła te trzy światła, i syn królewski utonął.

— Oh! moja matko, zawołała młoda dziewica; moja dobra matko! głowa mię

tak mocno boli! Nie mogłabym też ja pójśdź sobie na brzeg wody?

— Moje dziecię, ty nie możesz pójśdź sama jedna; zawołaj swojéj młodszéj siostry, niechaj ci towarzyszy.

— Moja młodsza siostra jest małém dziecięciem. Ona zrywa wszystkie kwiaty jakie tylko napotka po drodze i same listki zostawuje. Ludzie powiadają: «Otoż co robią córki królewskie!»

«Matka poszła do kościoła. Młoda dziewica wychodzi, i udaje się brzegiem wody, aż póki nie znalazła rybaka swojego ojca.

— O rybaku, zawołała, mój poczciwy rybaku! jeżeli zarzucisz sieci do wody, ja tobie za to nagrodzę.

«Rybak zarzuca swoje sieci do rzeki, ponurza je na dno, i wydobywa syna królewskiego.

«Młoda księżniczka zdejmuje z palca pierścień złoty, i daje go rybakowi: — Masz oto za swoję pracę.

«Potém bierze swojego kochanka w objęcia i całuje go w usta: O moje piękne u-

sta, rzecze, dla czegoż wy mówić nie możecie? O moje biédne serduszko, dla czegoż ty już więcéj bić nie możesz?

«Bierze swojego kochanka na ręce i z nim się rzuca do wody: — Żegnam was, mój ojcze i moja matko, już mię więcéj nie zobaczycie.

«Żegnam was mój ojcze i moja matko, i was wszystkich którzy mię kochacie! Żegnam mój braciszku i moja siostrzyczko, idę do królestwa niebieskiego.»

PORWANIE.

«Gdyby wszystkie góry były ze złota, gdyby wszystkie rzeki płynęły winem, kochałbym cię bardziéj jeszcze niż rzeki i góry.

— Jeżeli mię tak kochasz, jak to chcesz mi wmawiać, idź do mojego ojca i proś o mnie w małżeństwo.

— Jużem ja prosił twojego ojca; twój ojciec mi odmówił. Namyślaj się sama i pójdź ze mną.

— Jabym się mogła łatwo namyślić; ale

mężczyźni są tak złéj wiary. Jeżeli ty mię opuścisz zostanę bez przyjaciół.

— Ja ciebie nie opuszczę aż do śmierci. Jesteś córką królewską; jesteś tak świéżą różą.»

«Oboje biorą się za ręce, udają się pod lipy; a młoda dziewica zostaje matką.

— Owom słaba i chora, rzecze; błagam najświętszéj Maryi Panny, ażeby mi przybyła na pomoc.

Jéj kochanek na to odpowiada.

— Chcę, żebyś była uwolniona od twojego dziécka i zagrzebana pod zieloną lipą.

— Jeżeli chcesz widzieć mię pogrzebioną, jabym cię chciała wiszącego za szyję oglądać.»

«Rycerz podnosi rękę i daje jéj policzek, tak potężny, że ją na ziemię powalił.

— Uderzyłeś mię niesłusznie, rzecze, po siedmiu latach będziesz wzywał mojego miłosierdzia.

Po siedmiu latach, rycerz z grzechotką

zarażonego leprą, przybywa błagać ją o jałmużnę, albowiem znajdował się w potrzebie.

Młoda białogłowa wzywa swe dziécię.

«O moje dziécię! rzecze, podaj stołek twojemu ojcu, widziałam te czasy, kiedy z niego był zawołany rycerz.

«O moje dziécię! przynieś mu chleba; widziałam te czasy, w których on niczego nie potrzebował.

«O moje dziécię! przynieś mu piwa; widziałam te czasy, kiedy z niego dumny był szlachcic.

«O moje dziécię! przynieś mu wina; widziałam te czasy, w których on był moim lubym kochankiem.»

Ojciec młodéj białogłowy ukryty za drzwiami posłyszał te słowa. Dobywa swojego miecza z pochew, rzuca się na rycerza i głowę mu ucina.

Potém biorąc ją za włosy i rzucając córce:

«Oto masz, rzecze, płacz teraz po nim.

— Niestety! odpowić nieszczęśliwa, gdybym ja chciała płakać tyle, ilem powinna, miałabym dosyć do płakania przez wszystkie dni roku.»

(X. Marmier. — *Revue des deux mondes.)*

MICHAŁ BEER.

Tajemnica naszego życia, jest tajemnicą Boga. Napróżno usiłujemy odgadnąć ją i wyłożyć; gdy nam się zdaje spostrzegać światło w tym labiryncie, jeden wypadek ponurza nas napowrót w powątpiéwanie i ciemnotę; powiéw wiatru przewraca kartę, nad którąśmy się zastanawiali; księga upada, nić która nas wiodła urywa się, i trzeba nanowo zaczynać. Gdy człowiek pracowicie doszedłszy do celu, usypia w starości, i kona ze zużytémi członkami i osiwiałą głową, staramy się ubarwiać naszę nieświadomość, mówiąc: *że to jest prawo natury*. Lecz w gronie idących po stopniach

długich i trudzących wschodów życia, iluż jest innych którzy się zatrzymują w połowie, iluż za piérwszym krokiem upadających! Niestety! ileż to młodych kwiatów złamanych przed rozkwitnieniem! ile silnych krzewów, pełnych soków, burzą zwalonych, przed wydaniem owoców. O któż nam powié na co ta różnica? Kto powié dokąd te istoty tak wcześnie wyrwane od ziemi, idą kończyć życie? Co się dzieje z wonią kwiatu, który ginie tak nagle? co ze śpiéwem ptaszka upadającego, nie dokończywszy piosenki? gdzie niknie promień słońca chmurą zakrytego? Dokąd idzie dusza anielska dziecięcia, czysty oddech młodéj dziewicy, męztwo bohatyra, dusza artysty?

Ludzie niekiedy objawiają się nam jakby obowiązani poselstwem. Widzimy jak rzucają plan dzieła zamierzonego, a człowiek pospolity patrzy na nich z podziwieniem. Biorą się do roboty, rozwijają swe myśli, dokładają tak wielkich usiłowań, że świat pomimowolnie zaczyna w nich dostrzegać wyższą istotę. Każdy dzień sił im dodaje,

każda praca, która z ich rąk wychodzi, przybiéra postać kształtniejszą. Widne są ich postępy, poczynają domyślać się celu, do którego, przez czas długi, zmierzają, gdy odrazu śmierć ich wśrzód pracy porywa. Upadają, zostawując obraz niepełny, plan reformy niedokończony. I natenczas to pytają się, czemu to życie wprzód tak silne, tak śmiałe, kończy się tak nagle? Czy śpieszniéj od nas przebiegli przestrzeń wymierzoną człowiekowi na téj ziemi? czy też wysłano ich tylko dla wykreślenia nam świetnéj brozdy, ażeby nam zostawić myśl wyniosłą i głęboką, potém umrzéć? Nie miałżeś więcéj Boga-Rodzicy do malowania, o wielki Rafaelu? gdy twoja piękna głowa spoczęła na twoich pędzlach? Czy nie mogłeś daléj wyrażać uśmiéchu czystéj dziewicy, słodyczy głowy anioła, ty dobry i pobożny Allegri di Corregio; gdyś upadł na drodze z wysilenia? Nie miałżeś więcéj śpiéwu na twéj lirze, o Tasso? i ty szlachetny Burns'ie, i ty biédny Chatterton'ie, słabe dziécko muz, które ci dały poety natchnie-

nie, nie dbając na twój los przyszły; i ty Malifâtr'ze, i ty Millevoie? Co do ciebie Chénier, czułeś jeszcze wrzącą myśl w głębi twego serca, twoje marzenia były jeszcze tak czyste, tak świéże, tak dobrze zapełnione westchnieniem miłości, wiérszem śpiewnym, i czułém pocałowaniem. Któż was tak wcześnie powołał, święte dusze artystów i poetów? dokąd was odprowadzono piękne promienie, które szybkim przelotem oświéciły na chwilę tę ciemną ziemię?

Niestety! co za niezmierna żałość! widzieć zawód, który się tak rychło kończy; młode czoło, które blednieje pod swym wieńcem laurowym; szlachetne serce, które bić przestaje; zamykające się oko pełne genjuszu. Lecz, dla czegoż nie mamy wierzyć, że te istoty idą gdzieś przedłużać, wśrzód sławy, swe istnienie, które z takim trudem wlekli na ziemi? Dla czegoż nie wierzyć, iż poeta unosi z sobą spiéwy, wśrzód nas rozpoczęte, z nieśmiertelnym wieńcem na głowie, w nadpowietrznéj jasności, która

ją otacza, w czystém powietrzu, które igra ze strónami jego liry, śrzód obłoków za tron mu służących, wpośrzód gwiazd które go słuchają?

Niemcy opłakały także wielu mężów zbyt wcześnie utraconych, którymi zaszczycać się miały. Bürger, Hoelty, Novalis, Sultze, T. Körner, H. v. Kleist pomarli w młodości, a nakoniec Michał Beer w kwiecie wieku ojczyznę pożegnał. Wielkie zakładano nadzieje na tym młodym poecie, którego talent dramatyczny rozwijał się z rzadkim zapałem. Goethe zachęcał jego usiłowania; najszanowniejsi krytycy, najoświeceńsi literaci, aktorowie najbardziéj wsławieni, zgodzili się, ażeby jego probóm nieść pochwały zarazem ze swémi radami. Można było liczyć wiele na tym, dla którego natura, fortuna (dziwaczna bogini, któréj względy, więcéj niż się komu zdaje, są potrzebne dla poety) świadczyły swe łaski, dla tego, który w tak prędkim czasie od *Klitemnestry* zdołał napisać *Struense*; wtém umarł. Najmłodszy z rodziny, która

zostawiła wielkie i piękne pamiątki w literaturze i sztukach, gotował na osiwiałą głowę szanownéj matki szlachetną koronę wraz ze swymi dwoma braćmi, z których jeden Meyer-Beer muzycznémi utwory pozyskał imie w Europie, drugi zaś Wilhelm śmiało zabrał się do nauk astronomicznych (*). Niemcy na jego grobie wylały łzy i rzuciły wieńce cyprysu. Francya także ma po nim pamiątkę, gdyż lubił ten kraj i w nim najpiękniejszą część życia przepędził.

Michał Beer urodził się w Berlinie 19 Sierpnia 1800 roku. Ojciec jego, który umarł był już od lat przeszło dziesięciu, był bogatym bankierem, i nie jednemu tylko losowi, lecz swym wiadomościóm i charakterowi był winien wziętość pomiędzy ludźmi; jego matka jest z rzędu tych kobiét oświeconych, lecz prostych i skromnych,

---

(*) Pan W. Beer wydał w Berlinie piérwszą część mappy księżyca, która, zdaniem uczonych, ma dopełnić szacowną pracę Lohrman'a i przejśdź daleko wszystko to, co w tym rodzaju dotychczas wydano było.

w których towarzystwie chętnie się przepędza długie godziny. Młody poeta wzrastał w gronie znakomitych pisarzy, którzy uczęszczali do domu jego rodziców. Przeszedł nauki w uniwersytecie, i wcześnie okazał zarody wielkiego talentu. W czternastym już roku pisał ody i poezye ulotne, których surowi znawcy nie bez przyjemności słuchali. W poźniejszym czasie stosunki z Ífflandem, Bethmanem i niektórymi innymi aktorami, w Berlinie, natchnęły go zamiłowaniem do teatru. Zwrócił natenczas całą myśl na sztukę dramatyczną, i w szesnastym roku dokończył szczęśliwie (co nie często można napotkać w literackich rocznikach) tragedyą wiérszem napisaną we cztérech aktach *Klitemnestrę*. Sztuka była czytana przez sędziów gruntownych i grana z powodzeniem przez Panią *Krelinger* i sławnego Wolffa, którzy nie odmówili przyjęcia ról głównych. Nie jest to, bez wątpienia, jak łacno można wierzyć, sztuka pełna zalety. Znajdują się w niéj tak w toku ogólnym jako w szczegółach ważne uchybie-

nia. Daje się wszędzie czuć wyobraźnia exaltowana młodzieńca, który się unosi, jak skoro tylko widzi przestrzeń otwartą; ręka niedoświadczona malarza, który rzuca gęste warsty koloru, który nie stara się zatrzymywać na złagodzeniu, na wykończeniu *konturów* zrobiwszy *szkic* obszérny, i który jeszcze nie umié stopniowania cieniów i ostrożnego użycia farb dla większego wrażenia. Jest to jeździec zbyt śmiały, puszczający wodze ognistemu rumakowi, z roskoszą widząc, jak on szybkim pędem przesadza poręby i skał rozpadliny, gdy widzowie patrzą nań z przerażeniem. Charaktery są malowane wielkiémi, lecz przerywanémi rysami, i często przechodzącémi prawa kształtu, a okropność dramatu zawcześnie objawia się, ażeby mógł spodziewać się rosnącego w słuchaczach zajęcia. Jednak pomimo te błędy, czyli raczéj z powodu tych błędów, tragedya *Klitemnestra* zwiastowała w Michale Beer'ze talent cechy prawdziwie dramatycznéj. Miał wyobraźnią dość żywą, siłę pomysłu dość wyrażającą, dość zapału i ży-

cia, ażeby przekonać, iż na téj piérwszéj probie nie skończy. Trzeba było tylko, iżby doświadczenie swą ważną nauką złagodziło ten pęd przyrodzony, wskazało drogę pewniejszą jego pracóm, więcéj czystości i sztuki w układach, więcéj spoczynku a natury w charakterach. Trzeba było, ażeby poeta pilniéj zważał ludzi i ich życie, i nie tracąc nic z piérwiastkowego zapału, pewniejszém okiem mógł swój zawód zmierzać, pociskać sprzężyną mniéj dziwną na piérwsze wejrzenie, lecz więcéj trwałą, zrobić jakby potok który w początku grozi, pieni się, burzy, zawadza o gałęzie drzew, roztryska się o skały, i który nareszcie spokojnie zajmuje łoże, jakie mu dolina otwiéra, i odbija w swych nurtach przejrzystych lasy, niebo, pobrzeże śmiéjące się, które przebiega, i dzwonicę wiejską, i mury starego zamku.

Powodzenie w teatrze Michała Beer'a otrzymane w tak młodym wieku, było dlań silną podnietą; wrócił do nauk z nowym zapałem i starał się nade wszystko poznać

klassycznych autorów starożytnych i nowożytnych. W rok potém wydał swoję: *Narzeczoną z Arragonii*, która wystawiona była na wielu teatrach i z upodobaniem od publiczności przyjęta. W téj sztuce błędy i piękności *Klitemnestry* napotkać można. Jest to ten sam wrzący zapał, taż sama siła utworu, lecz także jednakowa niewprawność schwycenia charakterów, wyszukiwanie dziwnych sprzeczności, zamiłowanie wrażeń dramatycznych do zbytku, a sytuacye i położenia naciągane i do prawdy niepodobne. Charakter cierpiący, bierny i stały Konstancyi, nie może nas nie zająć; lecz Hippolity zbyt dziki; jest to bardziéj furya, aniżeli dziewica pałająca i namiętna, jaką poeta chciał nam ukazać. Matka Konstancyi i Hippolity, jest jedną z tych matek, które tylko w romansach można spotkać, a bardzo rzadko na świecie rzeczywistym, a zaś rola Alfonsa i malarza Oktawio, nie są ani zręczne, ani naturalne. Nakoniec węzeł sztuki jest oparty na zbyt nizkiéj i do prawdy niepodobnéj powiastce, ażeby mogła wydadź tyle zadzi-

wiających wydarzeń, a sam jéj koniec podobny jest bardziéj do mięszaniny melodramatu, niżeli do szlachetnego rozwiązania tragedyi. Lecz ta sztuka na scenie wzbudzić może głębokie i ciągłe zajęcie; a widzowie mocnoby się gniewali, gdyby reprezentacyą przerwano, zacząwszy zaś ją czytać trudno nie dokończyć.

Od *Klitemnestry* do *Narzeczonéj* poeta wielkie zrobił postępy, a od *Narzeczonéj* do *Paryi* krok olbrzymi. Sztuka jest krótka, lecz świetna, szybka, mocno związana, pełna duszy i ognia. Autor wybrał za przedmiot myśl moralną i filozoficzną; ta myśl włada dramatem, a dramat ją rozwija w prawdziwie wschodnich kolorach. A do tego jeszcze, powieść o *Paryi*, o człowieku wyklętym przez kapłanów, potępionym przesądem, powieść okropna o człowieku, który się rodzi z plamą niezbytą, który, ani cnotą, ani duszą, nie może okupić miejsca jakie zostało mu wydarte wśrzód ludzi, który ma ciągnąć dni nędzne w ustroniu jak zarażony, i dadź życie istotóm równie jak on sam

wyklętym, wygnanym, prześladowanym. Są to dzieje wiecznéj wojny ucisku, przewagi możniejszego nad słabszym, przesądu nad oświeceniem, niesprawiedliwości i dumy nad przyrodzoném prawem, które jest przepisane dla wszystkich, dzieje pokolenia istot które do każdéj generacyi i w każdym czasie mogą się stosować, od zabójstwa Abla, od ukazania się fałszywego proroka, piérwszego zwodziciela. *Parya* Michała Beer'a nie jest ani Paryą filozofem Bernardin'a de St. Pierre, ani Paryą bohatyrem Kazimierza Delavigne. Ten bardziéj nieszczęśliwy, musiał schronić się w skał wyłomy, w części ziemi nieznanéj, ażeby utaić swe życie przed ludźmi, ażeby uniknąć nieszczęść, które mu grożą. Nienawiść jednak nie ma miejsca w jego sercu; czując oburzającą niesprawiedliwość nie widzi swych bliźnich w nienawistném świetle. Kocha ich, kocha rodzinną ziemię, chciałby jéj bronić i widzieć syna zą nią walczącego. Przy schyłku dnia, gdy noc swym cieniem przybywa go zasłonić, lubi opuszczać chatę pustel-

niczą, ażeby się zbliżać do mieszkań istot żyjących, ażeby widzieć miejsca ich pobytu, ażeby wspólném powietrzem oddychać. Potém nade wszystko lubi przebywać na mogiłach, widzieć na jednym gruncie groby bogaczów i biédnych; gdyż wtenczas tylko może myśleć, iż ludzie wszyscy są równi, i że na tém miejscu kończą się przesądy, przeciwko niemu wymierzone, i nienawiść kapłanów. Lecz dramat znachodzi go w tych pobożnych rozmyślaniach, dramat przybywa do jego chaty z młodą kobiétą, którą ratował od śmierci, z łagodną i tkliwą Mają, któréj doznając miłości i wiary nie ma czego zazdrościć pokoleniom ulubionym Bramie. Dramat więc przybywa pod ten dach bananasowy, ze wściekłością w oku i żelazem w ręku, z żądzą krwi, a biédny Parya musi ustąpić, pochyla głowę, i umiéra wzywając bozkiéj dobroci i miłosierdzia, które uwielbiał w ciągu całego życia (*).

(*) Tragedya *Parya* Michała B e e r'a, jest przełożona gładko na język polski, którąśmy w rękopiśmie czytali. (*W.*)

Parya był grany z wielkiém powodzeniem na celniejszych niemieckich teatrach; został umieszczony w repertoryum, a interes, który wzbudził na piérwszéj wystawie, zachował się na zawsze.

Po téj sztuce, która zjednała dla poety pochwały najoświeceńszych ludzi w Niemczech i ogólne oklaski publiczności, Michał Beer nic nie wydał przez czas długi. Poświęcił się nowym pracóm, uczył się w milczeniu, nie chciał psuć otrzymanego powodzenia wydaniem sztuki zrobionéj naprędce. Pomierzył dokładnie swe siły, wyrabiał starannie swoje pomysły, i wydał nakoniec: *Struense*. Od czasów Szylera, Getego, Niemcy pono nie mieli tragedyi obszérniejszéj, pełniejszéj, lepiéj uczuciem zgłębionéj, zręczniéj prowadzonéj. Tam to jest przestrzeń, duch, osoby mające właściwe ruchy, charaktery wiernie oddane, wydarzenia prawdziwe; dramat, który się wiąże bez naciągania, postępuje, przedłuża się, wydaje sceny intrygi, rozmowy miłośne, przysięgi i dochodzi do rozwinięcia szyb-

kim, lecz stopniowanym, krokiem. Nie zrobił poeta Struensy awanturnikiem zajętym jedynie sprzyjaniem fortuny, i zaślepionym dostojeństwem, do którego doszedł, ani królowéj Matyldy kobiétą zalotną i tkliwą, która opuszcza berło dla pisania słodkich biletów, jak to mógłby łacno uczynić niedoświadczony pisarz, z prostym synem wiejskiego pastora, który zostaje ministrem i faworytem króla, i z królową, która się w nim kocha. Trzymał się ściśle podań historyi, a przez to, nie zmniejszając wcale wrażenia dramatycznego, zdołał owszem utrzymać je w całéj powadze i sile. Tam Struense jest człowiekiem odważnym i wspaniałomyślnym, który zawsze działa, powodowany dobrowolném uczuciem; człowiek z gminu nie pyszni się, że odziany jest szatą dworaka; gdyż u stopni tronu i wśrzód królewskiéj okazałości, nie zapomina o swojéj wiosce, o swoim ojcu, o skromném życiu studenta. Jest to plebejusz upokorzony przez szlachtę, który teraz sam ją upakarza. Jego wielkim błędem była tylko niedostateczna znajomość

czasu w którym żył, i kraju, do którego chciał swe reformy wprowadzić, iż walczył z małą siłą przeciw przeważnéj potędze, że pod odzieżą ministra nie miał dość zręcznego charakteru dworaka; że szedł z odkrytém czołem, i zaufał otaczającym go osobóm, jak niedoświadczony w poznaniu ludzi prosty uczeń z Hali.

Królowa Matylda jest młoda kobiéta, łagodna i bojaźliwa, która znalazłszy na dworze stronnictwa przeciw sobie, odrzucona przez swą macochę, zdradzona przez osoby którym się zwierzyła, nie mogąc polegać ani na przywiązaniu niektórych dworzan, ani na słabym i leniwym charakterze swego męża, z radością przyjmuje usługi, które jéj są ofiarowane przez poświęcającego się dla niéj człowieka; podziela wszystkie jego widoki idąc za jego radami.

Autor zręcznie także wprowadził do sztuki ojca Struensy, który jest prostym, dobrym, pobożnym pastorem jednéj wioski; ten śpieszy do stolicy, ażeby synowi przedstawić niebezpieczną drogę, którą się puszcza,

i słyszeć od niego oświadczenia miłości Matyldy; tenże sam pastor, na końcu dramatu, przybywa nieść ostatnią pociechę religijną Struensie.

Może słusznie zarzuconoby poecie, iż od niechcenia wydał scenę miłośną Matyldy i Struensy w czasie balu; i, że rola królowéj zbyt przypomina małżonkę Filipa II. w *Karlosie* Szyllera, jak rola którą tu gra Koller podobną jest do Duttlera w *Walensteinie*: lecz to są tylko zaledwie wyraźne skazy w dziele tak długiém i pięknéni.

Struense grany był w Munich, w Ratyzbonnie, i na niektórych innych teatrach Bawaryi. Przedmiot tego dramatu zbyt jeszcze jest świéży (*); nazwiska osób, które są wmięszane do téj krwawéj katastrofy, są dotychczas bardzo potężne. Noszący je dokładali całego wpływu swéj władzy, ażeby sztuka nie była graną; jako też i wzbro-

(*) Struense był sądzony 25 dnia Lutego 1772, ścięty dnia 28. Słuchał z niezwykłą stałością swego wyroku. Taż sama spokoyność i godność towarzyszyła mu do śmierci.

niono tego przez czas niejakiś; lecz w samém czytaniu znalazła wielkie powodzenie, a literaci niemieccy z upragnieniém jéj wyszukiwali.

Odtąd ta sztuka Michała Beer'a dała treść do nie jednego mellodramatu i romansu, który miał dobre przyjęcie, a szczególnie sztuka Pana Scribe: *Bertrand et Raton* powszechnie się podobała.

W 1832 roku Michał Beer dał dla teatru w Munich piątą tragedyą: *Ręka i Oręż*. Jest to dramat złożony z osób utworzonych przez wyobraźnią pisarza, jak Lessing'a *Emilija Galotti*, która wystawiła przykład tego rodzaju sztukóm. Plan jéj jest obszérny i łacny, na którym poeta dowolnie rozwija swe fantastyczne utwory, nie mając na przeszkodzie ani historyi, ani podań. Zamiłowanie w takich sztukach, które będąc zawsze bardzo tragicznémi, częstokroć przechodzą zakréślone granice, prędko rozszérzyło się w Niemczech. Czy ich dążenie jest dobre, skutek to pokaże; lecz dotychczas mało dobrych wydało owoców. Oddając się temu rodzajowi tra-

gedyi, za wiele jest poświęcenia, jak się zdaje, dla wydania żywego zapału, który jest często tylko wypadkiem dzikiégo pojęcia, i oparcia dramatycznego wrażenia na zdarzeniach nadzwyczajnych, zbrodniach, samobójstwie, rusztowaniu i rozlewie krwi, natenczas gdy można je w wyższym stopniu rozwinąć w malowaniu charakterów i walki namiętności.

Ręka i Oręż, jest ostatniém dramatyczném dziełem młodego poety. W pośrzód powodzenia na teatrze, i pochwał krytyki, zarzucają téj sztuce zbytek melodramatycznego ducha nowéj francuzkiéj szkoły.

Michał Beer napisał także jednę komedyą, która okazuje w nim wielką zdolność do tego rodzaju poezyi; zostawił przytém zbiór ulotnych wiérszy, których jedna część w stylu jest malowniczym, wdzięcznym i żywym; elegije, ody i sonety; wrażenia podróży po Francyi, Niemczech, Włoszech, i legendy, po większéj części, odznaczające się trafną ironiją; z których tu jednę przytaczamy.

RABIN POBOŻNY.

«W pobliżu Damaszku, w biédnym wiejskim domku, daleko od swoich braci, na stronie, w zaciszy, żył rabin pobożny. Cały dzień schodził mu na rozmyślaniu o prawach bózkich, na zadawanych samemu sobie pokutach, zachowywaniu postów, i szukaniu po księgach religii, którąby miał wyznawać. Dnia jednego, z pośrzodka ksiąg jego wypłowiałych, bozkie oko zdawało się patrzeć zagniewane, a tęskność ogarnęła mu duszę. Święto Wielkiej-Nocy się zbliża z uśmiéchem wiosny; pobożny rabin śpiesznie stół zastawia chlebem błogosławionym, czekając współbiesiadnika, któryby przyszedł ucztę z nim podzielić; gdyż zakon mówi: «będziesz przestrzegał praw gościnności.» Lecz nikt nie przybywa, a rabin płacze, w piersi się bije, klęka na progu drzwi swoich, potém wychodzi na drogę, ażeby znaleźć towarzysza, któregoby mógł wprowadzić do celi, i któremuby mógł dadź jadła i napoju. Wtém spostrzega ubogiego starca, który żebrząc

zaledwie postępuje schylony na swym kiju. Zbliża się do niego, pozdrawia, daje pocałunek pokoju i zaprasza do swego mieszkania. Tam najstaranniéj mu usługuje, przynosi wody na ręce i sam obmywa jego nogi ranami pokryte. Potém ofiaruje mu swe najlepsze wino i daje własne posłanie. A gdy starzec dobrze już pokrzepiony strawą i spoczynkiem, zabiéra się do podróżnego kija i chce iśdź w dalszą drogę, oświadczając gospodarzowi całą moc swéj wdzięczności, rabin rzuca się przed nim i mówi: «Wędrowniku od nieba mnie zesłany! bądź tak «dobrym, przepędź jeszcze noc i dzień pod «moim dachem.» Lecz zaledwie noc nadeszła, rabin wstaje, bierze kij sękowaty i bije z całéj siły uśpionego starca, tak, iż ten nurza się we krwi od stóp do głowy wołając drżący: «złośliwy rabinie! i cóżem «ci uczynił, że tak srodze oświadczasz mi «obowiązki gościnności?» Naówczas ten rzuca mu się do nóg, całuje ręce, opatrując rany, czuwa przy nim przez dzień i noc całą, i przeprasza. Gdy żebrak został wy-

leczony, powiedział do rabina: «teraz dopełniłeś obowiązku religii, pozwól niech już pójdę; lecz rabin rzuca się przed nim i mówi? «Wędrowniku od nieba mnie zesłany! «bądź tak dobrym, a przepędź jeszcze noc «i dzień pod moim dachem.» Kiedy zaledwie noc nadeszła, rabin wstaje znowu, bierze topór i chce zabić gościa. Lecz ten przebudza się, wyrywa oręż zbrodniczy z rąk rabina, obala go na ziemię i woła: «cóż ci «się stało? zapraszasz obcego do siebie, po«tém zadajesz mu rany po całém ciele, a «gdy on zasypia, ty go chcesz zabić?» Rabin podnosi na gościa obłąkane oko, pot śmiertelny występuje mu na czoło, i mówi: «Przebacz mi i słuchaj wędrowniku od «nieba zesłany: com ja czynił było to z po«słuszeństwa księdze zakonu, która wkłada «na nas trzy główne obowiązki: gościnno«ści przestrzegać, chorych pielęgnować, u«marłych grześć, modląc się za ich dusze. «Wszedłeś do mojéj chaty, a ja wypełni«łem powinność gościnną; lecz nie miałem «chorego, przywiodłem więc ciebie do nie-

«mocy bijąc cię kijem; lecz trupa mi bra-«kło, chciałem cię zabić. O biada mnie! «czuję, iż dzień już mój ostatni nadszedł, «a ja nie mogłem najważniejszego dopełnić «obowiązku.» — Tu upada; anioł zstępuje ku niemu, wyzwala jego duszę z ziemskich więzów, i mówi mu płacząc gdy puszczał ją do wiecznéj ojczyzny: «Nierozsądny! czy Bóg «nie dość jasno wypisał swe prawa w głębi «twego serca; a ty chcesz je czytać mo-«zolnie po księgach. Ubiegacie się za ja-«snością zwodniczą tego świata, gdy po-«chodnia niebieska nad głowami waszémi «przyświéca.»

Michał Beer podróżował przez czas długi we Włoszech i bawił lat kilka w Paryżu, gdzie wszedł w ścisłe stosunki ze znakomitszymi pisarzami Francyi. Za powrotem do Niemiec, osiadł w Munich. Doświadczał tam szczególnych względów króla, a w codziennném obcowaniu z uczonym Schelling'iem, Thirschem i Schenk'iem znalazł podniétę w swych pracach i przewodników w naukach. W r. 1832 z ra-

dością zwrócił uwagę na klassyczną ziemię Peloponezu. Uczył się pilnie nowoczesnego greckiego języka, i gotował się zwiedzić ziemię Aten, ruiny Sparty, ojczyznę Sofoklesa i Euripida. Dotkliwa choroba zawcześnie przerwała jego poetyczne marzenia, jego nowe nadzieje sławy. Umarł w trzydziestym trzecim roku życia, w wieku, w którym inni zaledwie swój zawód rozpoczynają.

Zostawił po sobie wiele żalu, wielu przyjaciół, którzy długo będą pamiętali jego prawą i nieskażoną duszę, jego charakter czuły i wyniosły; wielu z młodzieży przykładającéj się do nauk, wielu artystów którym skrycie podawał swą wspaniałą rękę; gdyż jego serce, jak Schenk powiada, było pełne miłości i dobrodziejstwa. Ci, którzy go osobiście znali, opłakiwali go; ci którzy znają jego dzieła tylko, i oddają się poezyi, powinni byli opłakiwać jego śmierć tak zawczesną, te prace sztuki tak nagle przecięte, te potężne usiłowania natury tak rychło zniszczone. W chwili upadku teraźniejszego

w Niemczech teatru, Michał Beer mógłby ważną zrobić odmianę. Jego *Parya* jest zachwycającą probą, jego *Struense* jest, bezwątpienia, jednym z najlepszych dramatów niemieckich. Jeszcze lat kilka, a mógłby wiele ważnych rzeczy dokonać. Śmierć była bardzo na swą zdobycz łakoma.

(Nouvelle Revue Germanique.)

PAGANINI.

WIZERUNEK FANTASTYCZNY.

Paganini jest ozdobą swojéj ojczyzny, zasługującą na najznakomitsze wspomnienie, ilekroć się o znamienitościach muzycznych włoskich wzmiankuje. Powierzchowność jego nie zaspakaja bynajmniéj uczucia piękności. Niezmierną moc zrobiono wizerunków jego malowanych, z których żaden do swojego oryginału nie jest dostatecznie podobny; oszpecono go bardziéj jeszcze, albo upiękniono, nikomu wszakże prawdziwego charakteru rysów oblicza jego wydadź się nie zdarzyło. Mniemałbym, że jednemu czło-

wiekowi tylko udało się wykréślić na papierze prawdziwą fizyognomiją Paganini'ego; tym człowiekiem był głuchy malarz nazwiskiem Lyzer, który w swojéj dowcipnéj swawoli, kilku pociągnięciami ołówka, tak dobrze oddał głowę Paganini'ego, że prawda tego rysunku, wzbudzając śmiéch, przeraża cię oraz. «Djabeł prowadził moję rękę, mówił mi poczciwiec głuchy malarz, śmiéjąc się do rozpuku, i podnosząc głowę z dobrodusznością ironiczną, jak to było jego zwyczajem. Malarz ten zawsze był osobliwszym oryginałem. Na przekorę swojéj głuchocie, z entuzyazmem lubił muzykę, i zdaje się, iż ją pojmował wtenczas, kiedy się znajdował w pobliżu orkiestry, czytał na twarzach muzyków, i sądził, po ruchu ich palców, o większych lub mniejszych zaletach wykonania. Pisał także krytyki oper w jednym z dzienników hamburskich. I cóż w tém jest zadziwiającego? malarz głuchy mógł postrzegać tony w widocznéj grze udania. Jakoż, jest wielu bardzo ludzi, dla których tony same nawet są niewidzialnémi

formami, w których postaci i barwy pojmują.

Rysunek Lyzer'a, najlepsze dadź może wyobrażenie o powierzchowności Paganini'ego. Rysy czarne wybitnie oddane, jedynie mogły zatrzymać na papierze tę fizyognomiją bajeczną, która zdawała się należeć raczéj do mocarstwa siarczystego cieniów, aniżeli do jasnego świata żyjących. «Bez wątpienia, djabeł prowadził mą rękę, powtarzał mi malarz głuchy, w pawilonie Alstera w Hamburgu, tego właśnie samego dnia kiedy Paganini dał swój piérwszy koncert. «Tak, mój przyjacielu, prawdę utrzymują ludzie, powiadając, że Paganini duszę i ciało swoje djabłu zapisał, żeby zostać najpiérwszym skrzypakiem w Europie, zyskać miljony smyczkiem, i oswobodzić się z galer, na których przez lat wiele zostawał. Albowiem, zważ tylko mój przyjacielu, kiedy on był kapelmajstrem w Luce, rozkochał się w pewnéj księżniczce teatralnéj, wpadł potém w zazdrość względem jakiegoś małpięcia Labusia, może się i myląc; jako Włoch

poczciwy, przebił sztyletem swoję kochankę niewierną, został posłany do Genui na galery, i jakem ci już powiedział, zakończył na zapisaniu się djabłu, naprzód dla odzyskania swobody, potém dla zostania najlepszym wjolonistą w Europie; nakoniec dla wzięcia dzisiejszego wieczora od każdego z nas kontrybucyi po dwa talary. Ale zobaczono tylko! *Wszelki duch Pana Boga chwali!* Patrzaj! otoż on sam który idzie aleą ze swoim dwuznacznym *Famulusem!* «

Rzeczywiście był to Paganini, w swojéj własnéj osobie, któregom natychmiast poznał. Miał on na sobie surdut ciemnoszaraczkowy, sięgający mu aż po pięty, co wzrost jego wysoki bardziéj jeszcze podnosiło. Długie jego włosy ciemne spadały na ramiona, w pomiętych kosmach, formując pewny gatunek ram czarnych obwodzących twarz jego bladą trupią i stroskaną, na któréj udręczenia, genjusz i piekło, cechy swoje niezatarte napiętnowały. Przy nim podskakiwała maleńka figurka, dobrze się na zdrowiu mająca, i w czystości zu-

pełnéj prozaiczna, z twarzą rumianą, w odzieniu barwy światłego szaraczku, z guzikami stalowémi, witająca się na wszystkie strony z uprzejmością do niezniesienia; chociaż zdawała się rzucać niekiedy wzrok zézowaty i niespokojny na tę postać posępną, która z ponurą i zamyśloną twarzą obok postępowała. Rzekłbyś, że oglądasz rycinę Reksch'a wystawującą *Fausta* przechodzącego się z *Wagnerem*, przed bramami Lipska. Malarz głuchy zrobił mi po swojemu kommentarz pocieszny nad témi dwiema osobami, zwracając szczególniéj moję baczność na chód wymierzony, sztywny i podługowaty Paganini'ego.

«Nie zdawałoby sięż rzecze, że dźwiga jeszcze kajdany na nogach? On się już nazawsze do takiego chodu nałożył. Patrzaj także, z jak wzgardliwą ironiją pogląda on czasami na swojego towarzysza, kiedy ten uprzykrza mu się swojém prozaiczném paplotaniem. Nie może się on wszakże obejśdź bez niego; cyrograf krwawy wiąże go z tym służalcem, który niczém inném nie jest,

tylko szatanem. Gmin ciemny, zapewne, mniema, że tym towarzyszem jest P. Jerzy Harrys z Hannoweru, autor komedyj, tudzież anegdot, którego Paganini zaprosił do swoich wędrówek, dla pilnowania części pieniężnéj w koncertach, ale gmin tego nie wié, że djabeł zabrał tylko postać Jerzego Harrys'a, i że duszeczka biédna tego nieboraka, przebywa tymczasem zamknięta wraz z innémi rupieciami, w szafie domowéj w Hannowerze, aż póki djabeł nie raczy jéj wrócić téj powłoki cielesnéj, układając sobie może towarzyszyć swojemu Panu Paganini'emu, pod postacią dostojniejszą, naprzykład pudla czarnego.

Jeżeli Paganini, wśrzód dnia jasnego, pod zielonémi drzewami *Jungfernsteg'u* w Hamburgu, wydał mi się nie pomału fantastycznym i bajecznym, jakżeż zostałem przejęty wieczorem na koncercie, tym dziwacznym i złowrogim widokiem! Sala komedyi w Hamburgu, była teatrem téj uroczystości, a publiczność amatorów tak się tam zgromadziła wcześnie i w tak wielkiéj

liczbie, że mi się ledwie z wielką trudnością udało dopaśdź miejsca w orkiestrze. Chociaż to był dzień pocztowy, postrzegłem w piérwszych lożach, cały świat piękny handlarski; cały olimp bankierów, tudzież innych miljonowych bogaczy; bożków kawy, cukru, z ich opasłémi boginiami, Junonami ulicy Wrantram i Wenerami ulicy Dreckwalle. Religijne, prócz tego, panowało, w całéj sali, milczenie. Wszystkie oczy zwrócone były na scenę. Uszy gotowały się do słuchania. Sąsiad mój poczciwy handlarz futrami, powyjmował ze swoich uszu stare kłaki bawełny, ażeby snadniéj pompować mógł w siebie szacowne tony, które za wejście dwa talary kosztowały. Nakoniec wemknęła się na scenę ponura postać, która ze świata ciemności zdawała się przybywać. Był to sam Paganini, w swoim czarnym galowym ubiorze: frak czarny, tudzież czarna kamizelka kroju straszliwego, jaki etykieta piekielna, zapewne, na dworze Prozerpiny, przepisuje. Pantalony czarne obwijały się opłakanym sposobem około jego nóg lasko-

watych. Długie jego ręce zdawały się bardziéj jeszcze przedłużać skrzypcami, które z nich w jednéj, i smyczkiem, który w drugiéj trzymał, dotykając nim prawie podłogi, kiedy zaczął swoje niesłychane ukłony publiczności składać. W kątowatych schyleniach jego ciała, wydawała się odrażająca giętkość marjonetki, i razem gatunek niewolnictwa zwierzęcego, które dla nas wielkiém pokuszeniem były do śmiéchu; ale twarz jego, któréj omraczające światło orkiestry bladość trupią wydała, miała w sobie coś tak błagającego i tak z głupia pokornego, iż jakieś osobliwsze politowanie stłumiło w nas wszelką ochotę do wesołości. Czy się on od automata, czy téż od psa tych ukłonów nauczył? Ten wzrok błagający zaliż należy do istoty skazanéj na stracenie, czy też jest maską ironii łakoméj? Jestże to człowiek żyjący, który ma skonać i który w cyrku sztuki, jak gladyator umiérający, sposobi się zabawić publiczność swojémi ostatniémi konwulsyami? Może to jest nieboszczyk powstały z grobu, skrzypak-upior, który przy-

bywa wyssać, jeżeli nie krew z naszego serca, to przynajmniéj pieniądze z naszéj kieszeni?

Wszystkie te pytania krzyżowały się w głowach naszych, póki Paganini oddawał nieskończone swoje czołobitności; ale myśli te wnet umilkły, kiedy uroczny artysta wziął skrzypce swoje pod brodę i grać rozpoczął. Co się mnie tycze, znacie już moje jasno-widzenie muzyczne, moję władzę postrzegania, za każdym odmiennym tonem który usłyszę, stosownéj do jego postaci. Zdarzyło się przeto, iż Paganini przesunął przed mojémi oczyma, za każdém pociągnieniem smyczka, postaci widoczne i sytuacye, tak dalece, iż w obudzonéj urokiem dźwięku imaginacyi, opowiedział mi wszystkie ciekawe historye, w których on sam, ze swoją muzyką, celniejsze role wygrywał. Za piérwszém pociągnieniem smyczka, kulisy się w oczach moich przeobraziły. Wystawił on mi się, ze swoim pulpitem, w izbie rzęsisto oświéconéy i przyozdobionéj, gdzie się wydawał luby nieład

meblów w guście Pani Pompadour. Wszędzie maleńkie źwierciadełka, maleńkie kupidynki, porcelana chińska, roskoszne chaos wstążek, girland, kwiatów, rękawiczek białych, podartych blondyn, fałszywych pereł, dyadematów, tudzież innych urocznych cacek, któremi zwykle *prima dona* gabinet swój napełnia. Paganini podobnież się przedzierzgnął, i w sposób, jak tylko można, najpochlebniejszy. Miał on na sobie spodnie krótkie atłasowe koloru *lilas*, kamizelkę białą haftowaną, frak z aksamitu świało-błękitnego, ze srébrnémi, roboty filigranowéj, guzikami; a włosy jego starannie utrefione, w drobne pierścienie, igrały około jego twarzy świetnéj młodością, czerstwością i tkliwą słodyczą, kiedy nadobna *signora* stojąca przy pulpicie oczóm się jego nawinęła.

Jakoż rzeczywiście, postrzegłem przy nim młode i śliczne stworzenie ze staroświecka ubrane, w atłasowéj spodniczce, z kibicią szykowną i powabną, mającą na głowie włosy upudrowane i utrefione w kształt

góry, pod którą jaśniała prześliczna twarzyczka, okrągła z iskrzącémi się oczętami, z jagodami ubarwionémi, z muszkami na policzkach i z impertinentskim noskiem. Trzymała ona w ręku zwitek papiéru białego; a miarkując, po warg jéj ruchu, i skinieniach kibici zalotnych, mogłem się domyślać że śpiéwała; lecz żadnego z jéj trillów słyszéć nie zdołałem, i tylkom się mógł domyślać, po grze Paganini'ego, który akompanijował, co ona śpiéwała, i co on czuł w sercu swojém, słysząc to śpiéwanie. Oh! były to melodye podobne do tych, jakie słowik rozwodzi wśrzód wieczornéj pomroki, kiedy wonia róży serce jego żądzą wiosenną upaja. Była to błogość upojenia i uniesień roskosznych. Były to dźwięki miłośne pieszczące się z sobą nawzajem, wnet stroniące od siebie z powabném zagniewaniem, łączące się potém i zlewające się w jedno, potém konające w czarodziejskiém zjednoczeniu. Tak jest, wszystkie te dźwięki oddawały się urocznym igraszkóm, jak motyle, które się ścigają, stronią od siebie, kryją się

poza kwiatami, znajdują się potém, jednoczą się w szczęśliwości napowietrznéj i gubią się w jasności słonecznéj. Ale pająk, ohydny pająk, może los zgubny tym miłośnym motylkom przygotować. Młode serce miałoż podobne przeczucie? Melodya tkliwa i rozrzewniająca, jak przeczucie blizkiego nieszczęścia, wemknęła się pomiędzy tony wychodzące ze skrzypiec Paganini'ego.... Oczy jego zaszły łzami. — Pada pobożnie na klęczki przed swoją lubą... Ale niestety! wtenczas, kiedy się do stóp jéj ucałowania nachyla, postrzega, że się pod łóżkiem maleńki *abbate* ukrywa! Nie wiém co za urazę mógł on mieć przeciwko temu nieszczęśliwemu człowiekowi; ale Genueńczyk, jak śmierć pobladł w téj chwili; porwał nieboraka rękami kurczącémi się od wściekłości, obłożył pięściami jego policzki, wyszturchał nogami, i za drzwi, nakoniec, wyrzucił; potém dobył z kieszeni wielkiego sztyletu, i w łonie go piękności swojéj utopił....

Lecz w téj chwili, sala się oklaskami rozległa. Ludność hamburgska męzka i niewie-

ścia wypłacała huczną daninę entuzyazmu wielkiemu artyście, który część piérwszą koncertu swojego zakończył, kłaniając się z przewyżką kątowatości i nagięć. Zdawało mi się, żem postrzegał na jego twarzy wyraz pokory błagalniejszéj jeszcze aniżeli piérwéj. Oczy jego w słup stanęły z niespokojnością zbrodniarza.

— Bozko! zawołał, drapiąc się po uszach mój sąsiad, znawca na szubach; ten sam jeden kawałek wart jest dwa talary.

Kiedy Paganini zaczął grać znowu, wszystko się w oczach moich pomroką osłoniło. Oblicze się mistrza gęstémi cieniami pokryło, a z téj ciemności, muzyka jego wyszła z tonami najboleśniejszémi i najbardziéj rozdzieraiącémi serce. Zrzadka tylko i to wtenczas, kiedy lampa zawieszona ponad jego głową, oświécała go mdłym blaskiem, mogłem postrzegać blade oblicze jego, na którém wszelakoż powaby młodości nie wygasły. Ubior jego dziwacznie, dwie barwy, czérwona i żółta składały. Nogi jego ciężkie obarczały kajdany. Poza nim, mio-

tała się postać, któréj fizyognomija wyrażała coś z lubieżnéj natury kozła, a długie jéj kosmate ręce, zdawały mi się przedłużać bardziéj i sięgać do skrzypiec Paganini'ego. One czasami powodowały jego smyczkiem, a odgłos podobny do beczenia i śmiéchu, towarzyszył wychodzącym ze skrzypiec dźwiękóm, dźwiękóm zawsze, coraz żałobliwszym i krwawszym. Dźwięki te podobne były do pienia upadłych aniołów, którzy wdawszy się w miłość z córkami ziemskiémi, wygnani zostali z błogosławionych królestwa, i wpadli w przepaść, z rumieńcem sromoty i z hańbą na czołach. Były to dźwięki, w których ciemnéj głębi, ani pociecha, ani nadzieja, nie jaśniały. Kiedy święci Pańscy w niebiesiech usłyszą podobne tony, pochwała przedwiecznego, na ich bledniejących wargach umiéra, i zalani łzami kryją swoje załośne oblicza. Czasami kiedy śmiéch kozła, *obligato*, zabeczał wśrzód tych udręczeń melodyjnych, widziałem, wśrzód sceny, tłum maleńkich kobiét, które, ze srogiém uradowaniem brzydkie swoje postaci

miotały, wyrażając złośliwość swoję przez klaskanie palcami. Tony udręczeń wychodziły wtedy ze skrzypiec, z westchnieniami rozdzierającémi serce i ze łkaniem takiém, jakiego nigdy niesłyszano na ziemi, i jakiemu podobne nigdy się może nie da słyszeć, aż chyba na Jozafatowéj dolinie, kiedy zabrzmią olbrzymie trąby sądu ostatecznego, kiedy umarli opuszczą groby swoje i wyroku będą oczekiwali. . . . Ale skrzypak gwałtownie pomknął smyczkiem; był to zamach szaleństwa i rospaczy, tak, że się pęta jego z trzaskiem spękały, a jego piekielny pomocnik zniknął podobnie jak i wyszydzające czarownice.

W téj chwili, mój sąsiad frymarczący futrami zawołał. «Co za szkoda! stróna mu pękła. A temu wszystkiemu winne bezprzestanne *pizzicato*!»

Czy stróna prawdziwie pękła u skrzypiec? nic tego wiedzieć nie mogę; cały bowiem zajęty byłem przemianą tonów; a Paganini ukazał mi się przeobrażony zupełnie, równie jak i to wszystko co tylko

jego otaczało. Zaledwo mogłem go rozpoznać pod ponurym habitem mnicha, który go przestrajał raczéj nie zaś ukrywał. Głowa na wpół ukryta w kapturze, biodra przepasane powrozem, nogi bose; ta postać samotna i pyszna stojąc na nadmorskiéj skale grała na skrzypcach. Było to, jak mi się zdaje, w chwili zmierzchu. Odblaski wieczorne purpurowe rozlegały się po dalekich odmętach morza, które się barwiło powłoką coraz bardziéj czérwoną i roztaczało się ze szmerem uroczystszym, a szmer ten zgadzał się z tonami skrzypiec. Ale im się bardziéj morze czérwieniło, tym niebo się bladszém stawało, a kiedy nakoniec bałwany wzruszone przyszły do barwy krwi najczerwieńszéj, niebo się bladością trupią przyozdobiło, bladością widma, a gwiazdy na nim z rozwinięciem się zagrażającém połyskiwały.... a te gwiazdy były czarne, czarności lśniącéj się, jak węgiel ziemny. Tym czasem dźwięki skrzypiec stawały się coraz śmielsze i coraz natarczywsze; w oczach skrzypaka pałała szydercza żądza zniszczenia; a

usta jego zesznurowane poruszały się z tak okropną żywością, iż się zdawało, że wymawiał dawne formuły magiczne, które służyły niegdyś do wzbudzenia nawałnicy i rozwiązania złych duchów, na dnie morskiém, zaklętych. A kiedy czasami wysuwając swoję obnażoną rękę, swoję rękę długą i wyschłą, z szérokiego rękawa habitu, uderzał powietrze smykiem, stawał się prawdziwym czarnoksiężnikiem władnącym żywiołami, skinieniem swéj czarodziejskiéj laski; a słychać było wycia straszliwe rozlegające się w przepaści, bałwany zaś krwawe podskakiwały do takiéj wysokości, że ich krwawa piana, o niebo się pobladłe i poczernione gwiazdy, roztrącała. I słychać było ryczenia, świsty, łomot, jak gdyby świat miał runąć; a mnich wygrywał na skrzypcach z zapalczywością coraz wzrastającą. Chciał on mocą swojéj szalonéj i niepohamowanéj woli, pokruszyć siedm pieczęci, którémi Salomon zamknął naczynia żelazne, zawarłszy w nich pokonanych biésów. Król mądry zanurzył niegdyś naczynia te w morzu. Podczas gra-

nia Paganini'ego zdawało mi się słyszeć głosy tych duchów uwięzionych, które z dźwiękiem skrzypiec huky swoje najwściekléjsze zgadzały. Ale nakoniec zdawało mi się, żem ich radości, z oswobodzenia, dosłyszał; i ujrzałem wyłażące, z odmętów krwawych, głowy uwolnionych biésów, były to sprośne potwory okropności bajecznéj: krokodyle ze skrzydłami nietoperza, węże z jeleniemi rogami, małpy z głową konchami okrytą, foki z długiémi patryarchalnémi brodami, postaci niewiast z wiszącémi piersiami na miejscu policzków, głowy wielbłądów zielonych, hermafrodyty morskie z mięszaniną niepojętą członków; wszystkie te potwory błyskały wzrokiem pojętności lodowatéj, wyciągając ku mnichowi artyście długie swoje widłowate skrzele. . . . Ten, w szaloném wywoływania uniesieniu, odrzucił w tył swój kaptur, a włosy jego, unoszące się w powietrzu, otoczyły mu głowę czarnémi padalcami.

To zjawisko do tego stopnia pomięszało zmysły moje, żem sobie pozatykał uszy i

zamrużył oczy, ażeby rozumu do szczętu nie utracić. Wszystkie potwory zniknęły natychmiast; i kiedym otworzył oczy, ujrzałem nieboraka Genueńczyka w jego zwykłéj postawie, kłaniającego się sposobem sobie właściwym, wtenczas kiedy go publiczność z uniesieniem oklaskiwała.

— «Jest to sławny wysiłek na strónie *sol*, rzekł do mnie mój sąsiad: ja sam grywam na skrzypcach i pojmuję co to jest za cudo, tak władać swoim instrumentem!» — Na szczęście pauza trwała krótko; gdyby nie to, znawca futrzany pewnieby mię rozprawą techniczną przywalił. Paganini biorąc znowu skrzypce pod brodę za piérwszym smyczka zamachem, cudowne przeobrażenie tonów rozpoczął. Lecz tą razą barwy nie tak były jaskrawe, a formy bardziéj nieoznaczone. Tony rozwijały się ze spokojną uroczystością i majestatem, płynęły i wzbierały, jak choral organu pod katedralném sklepieniem. Wszystko się roztoczyło naokoło w proporcyach niezmiernych, i takich właśnie, jakie wzrok umysłu jedynie tylko

ogarnąć zdołał. We śrzodku tego niezmiernego przestworu unosił się glob świetny, na którym stał mąż wzrostu olbrzymiego, postawy wspaniałéj; mąż ten grał na skrzypcach. Azali glob ten był tylko jeden? o tém nie wiém bynajmniéj, lecz w rysach twarzy męża poznałem Paganini'ego upięknionego nadobnością idealną, uśmiéchającego się pociechą odpokutowania. W ciele jego jaśniała siła męzka, szata światło-błękitna okrywała uszlachetnione członki jego: po ramionach mu, w czarnych pierścieniach długie włosy spływały. Postawa jego była śmiała i pewna, jak górna i okazała postać bóztwa; grał na skrzypcach, i zdawało się że całe stworzenie słucha jego tonów. Był to człowiek planeta, około którego obracał się wszech-ogrom, z uroczystością wymierzoną i z niebieskiémi rytmami. Te piękne światła spokojne, które się naokoło niego ulatywały, zaliż były gwiazdami niebios? a ta harmonija dźwięczna, która wynikała z ich poruszenia, byłaż pieniami sfer, o których poeci i wieszczowie w swoich widzeniach

głosili? — Czasami, kiedy się me oczy siliły przeniknąć w daleko przestworu powietrznego, zdawało mi się oglądać przesuwające się płaszcze białości śnieżnéj, a pod témi płaszczami, olbrzymiego wzrostu ukrywali się pielgrzymi z białémi laskami w ręku. Rzecz cudowna! gałki złociste tych lasek, były temiż samémi światłami, którem za gwiazdy poczytywał. Ci pielgrzymi postępowali okręgiem niezmiernym około artysty, dźwięki skrzypiec coraz więcéj blasku złocistym gałkóm ich lasek przydawały, brzmiący zaś chór przez usta ich wydany, a który ja mogłem za pienia sfer poczytywać, niczém inném nie był, tylko echem jego skrzypiec. Święta i niewypowiedziana żarliwość ożywiała te zgodne tony, które się czasami zaledwo wyraźne rozlegały, jak szmer tajemniczy na wodach, potém przejmowały mię drżeniem wzrastając świetnie i rozlegając się, jak brzmienie rogu, przy bladém świetle księżyca, a nakoniec wezbrane, z niepohamowaną żywością, jak gdyby tysiące bardów jęło się za swe liry, i głosy

swoje, w pieniach zwycięzkich zjednoczyło. Była to muzyka jakiéj ucho nigdy nie słyszało, muzyka którą serce tylko roić sobie może, kiedy na łonie ulubionéj spoczywa. Może też serce pojmuje ją i wśrzód dnia jasnego, kiedy się z roskoszą gubi w czystych linijach i w szlachetnych zaokrągleniach arcy-dzieła starożytnéj i nienaśladowanéj sztuki greckiéj!....

(*Henryk* HEINE. — *Nocy florenckie.*)

ROZMAITOŚCI.

Historya Miasta Wilna *przez* Michała Balińskiego. Tom I. zawiérający dzieje Wilna od założenia miasta, aż do roku 1430, z rycinami. — Wilno. — drukiem Antoniego Marcinowskiego 1836 str. XXIV. 234 nieliczb. 6 in 8vo maj.

Uczony autor namieniwszy krótko we wstępie o pobudkach do napisania tego dzieła, i o widokach jakie miał na celu w układzie jego, w bystrym rzucie oka pełnym krytycznych postrzeżeń, skréślił początek, postępne kształcenie się i potęgę miast w Europie zachodniéj, daléj, za nastaniem związku hanzeatyckiego, szerzenia się przemysłu i ducha handlowego, jakie silnie się przyłożyły do podniesienia miast na północy i we wschodniéj Europie, tudzież szybki wzrost miast polskich, wskazał okoliczności sprzyjające

wzniesieniu się miast Ruskich i oddzielny charakter tworzenia się miast litewskich, nakoniec, napomknąwszy o źrzódłach z których czerpał fakta historyczne, wynurza swą wdzięczność uczonym mężóm, po większéj części swym przyjaciołóm, których chętna i usłużna pomoc ułatwiła mu przystęp do źrzódeł, lub pomnożyła liczbę materyałów, do układu dzieła, nieodbicie potrzebnych. Dwie księgi składają ten tom piérwszy *Historyi miasta Wilna*; piérwsza przedstawia czasy przedchrześcijańskie, od założenia miasta, aż do przyjęcia chrztu przez Jagiełłę w Wilnie w r. 1387; druga zawiéra dzieje miasta od obalenia pogaństwa, aż do śmierci Witowda i objęcia rządów Litwy przez W. Książęcia Swidrygajłłę od 1387 do roku 1431. Każdemu, komu tylko choć powierzchownie znana jest historya Europy północnéj, a mianowicie historya Rossyi, Polski, Litwy i Zakonu Krzyżackiego w Prussiech, wiadomo, ile ważnych wypadków, ogółu historyi litewskiéj dotyczących, zaszło w tym okresie czasu; uczony autor nie zacieśniając się do szczupłych granic założonego dzieła, nie pominął żadnego faktu objaśniającego, w jakimkolwiek bądź względzie, życie polityczne całego narodu, nie upuścił z uwagi najmniejszéj okoliczności, za wzrostem miasta, które stało się stolicą obszérnego państwa i siedliskiem rządu, wskazującéj, jak w skupionym obrazie, ogólny ruch i postępne kształcenie się potężnego mocarstwa,

które w kwitnącym stanie swego bytu, przez czas długi, stanowczo działało na północy Europy. Liczne noty i przypisy wyjaśniają szczegółowo fakta, o jakich w samym texcie jest mowa; nadto do każdéj księgi przyłączone są dodátki, w których zawiéra się uzupełnienie i jakby sprawdzenie opisanych wypadków. Wszystkie dodatki do księgi piérwszéj na szczególniejszą uwagę zasługują, jako to: *Rozprawa o początku miasta Wilna, o listach Króla Gedemina z Wilna pisanych, ich autentyczności, i o wypadkach, które z ich ogłoszenia wynikły; rzut oka na działania Gedemina w epoce ogłoszenia tych listów*, *o niepráwdziwości listów Króla litewskiego Gedemina, do Papieża Jana XXII, do zakonu Kaznodziejskiego i braci mniejszych, oraz do miast nadmorskich północnych Niemiec pisanych*, dwa wyjątki z szacownego i wiele wiadomości do dziejów litewskich w sobie zawiérającego dzieła *Voigt'a, Historyi Pruskiéj*, niedawnémi czasy ogłoszonéj, daléj *o Wielonie i o zamkach Krzyżackich nad Niemnem*, oraz *o śmierci Gedemina pod zamkiem Bajerburg*; zpomiędzy dodatków do księgi drugiéj celniejsze są: *dwa listy Komtura dynaburskiego do mistrza inflantskiego, o zawaleniu się góry zamkowéj i spaleniu się miasta Wilna; o kościele św. Jana i o kollegium tegoż nazwania, jako też o wszystkich zakładach i budowach, tož kollegium składających, wiadomość historyczno-topo-*

graficzna wyjęta z akt byłego archiwum funduszu edukacyjnego w Wilnie; szereg Biskupów wileńskich od założenia Katedry do roku 1600; przywiléj od Witowda W. X. Litewskiego nadany Żydóm Trockim w Łucku, a przez Zygmunta I potwiérdzony w Mielniku i t. d. Opis pamiętnego zjazdu w Łucku, sporów między Jagiełłą i Witowdem o koronę litewską, śmierć i skréślenie charakteru Witowda, kończą księgę drugą. Tom drugi, który wkrótce na widok publiczny wydany zostanie, zawiérać w sobie będzie dzieje miasta Wilna od objęcia rządów przez W. X. Swidrygajłłę, do śmierci Stefana Batorego, roku 1586. Siedm rycin starannie i czysto zrobionych w litografii, jednéj z najlepszych, A. Klukowskiego, zdobią tom piérwszy *Historyi Miasta Wilna*; dwie piérwsze przedstawują wizerunki Władysława Jagiełły Króla polskiego i Witowda W. X. Litewskiego; inne wyobrażają plan miasta Wilna za Jagiełły, przed przyjęciem wiary Chrześcijańskiéj, front, stronę prawą, lewą i plan w przecięciu kościoła św. Mikołaja, jednego z najdawniejszych w Wilnie.

Zostawując sędziom właściwszym ocenienie tego ważnego dzieła, pod względem krytyki historycznéj, i ścisłych prawideł sztuki dziejopisarskiéj, tu tylko dodamy, iż uczony autor *Statystyki miasta Wilna*; tudzież wielu innych pism wyjaśniających oddzielne fakta Historyi Litewskiéj, wszystkie swe poprze-

dnie prace, do dziejów Litwy odnoszące się, uzupełnił wydaniem tego nowego dzieła, które niezaprzeczenie otrzyma wyższość nad wszystkiémi pismami w podobnym przedmiocie, w naszym języku ogłoszonémi. Wieloletnia praca, pilne a długie badania, znajomość i oswojenie się ze źrzódłami, zaszczytnie nabyte doświadczenie w zawodzie literackim, tudzież niepospolity talent pisarski, tę jemu wyższość zapewniają. Zewnętrzne zalety wydania odpowiadają wewnętrznéj wartości dzieła. Druk ozdobny, czysty, typografii P. A. Marcinowskiego, dobroć papieru, poprawność wydania, czynią, iż książka ta z saméj powierzchowności przyjemne na umysł czytającego sprawuje wrażenie. Wszystkie te zalety pozyskały zasłużoną wziętość temu dziełu, które z upodobaniem od wszystkich klass czytelników, miłujących wspomnienia i pamiątki krajowe jest czytane, tak, iż niepraktykowanym w dziejach drukarstwa i księgopisarstwa przykładem, w przeciągu dwóch miesięcy około czterechset exemplarzy jego już się rozeszło, co zdaje się zapowiadać, iż wkrótce powtórne jego wydanie stanie się potrzebném.

— O złamaniach kości, *przez* Dra Józefa Mianowskiego. — Wilno. — Drukiem Józefa Zawadzkiego dwa tomy in 8vo maj. Iszy str. 210, IIgi 270. Z trzynastu tablicami litografowanémi.

Dla ułatwienia wykładu *Nauki o złamaniach kości*, i uniknienia częstego jednéj i téjże saméj rzeczy powtarzania, autor idąc za przyjętym, zwłaszcza u Niemców, zwyczajem, podzielił traktat swój na dwie części: w piérwszéj z nich, zajął naukę o złamaniach w ogólności, w drugiéj traktuje o złamaniach każdéj kości pojedyńczo.

Część Isza zajmuje sześć rozdziałów następującéj treści: Rozdział 1. mieści w sobie: różnice złamań i ich podział. Do ustanowienia tych różnic, przychodzi autor z uwagi rozmaitego położenia kości oraz ich budowy, z uwagi rozmaitego miejsca w którém złamanie następuje, rozmaitego ich kierunku i względnego odłamków położenia, tudzież okoliczności złamaniu towarzyszących; i stara się, ze ścisłością, oznaczyć i ogólne różnice, jakie z wymienionych dopiéro względów, między złamaniami, zachodzą i przyczyny, dla których łatwiéj się łamią kości długie, niż szérokie lub krótkie; dla czego częstsze są złamania w części śrzedniéj, niż przy jednym lub drugim końcu kości i t. p.; co do kierunku złamań, dwa tylko przyjmuje: poprzeczne i ukośne, podłużne chyba przy ranach postrzałowych, podług zdania autora, zdarzać się mogą; nie przypuszcza także podobieństwa złamań tak nazwanych niezupełnych. Za najważniejsze te różnice uważa, które ze względnego odłamków wynikają położenia i na ich poznaniu zastosowanie opatrzenia, i całe po-

źniejsze gruntuje leczenie; cztéry zaś naznacza odmiany zboczenia odłamków kości, od względnego położenia, jakie zajmują nazwane: zboczeniem poprzeczném albo co do szérokości, zboczeniem podłużném, zboczeniem co do kierunku i zboczeniem co do obwodu; które albo się pojedynczo zdarzają, albo jeden rodzaj zboczenia z drugim się łączy. Za przyczyny zboczenia odłamków i wzajemnego ich od siebie oddalenia uważa: wpływy zewnętrzne, ciężar samego członka, a szczególniéj działanie muskułów, zwłaszcza, przyczepiających się do odłamka niższego albo członka, z którym się łączy, i ztąd przychodzi do ustanowienia ważnego bardzo w praktyce prawidła: iż zboczenie odłamka wyższego w najrzadszych tylko następuje przypadkach, ale się najczęściéj odłamkowi niższemu należy. Nareszcie ze względu na okoliczności złamaniom towarzyszące, dzieli złamanie na proste i skomplikowane: ze stłuczeniem, z ranami skóry, muskułów, naczyń i t. d., z wywichnieniem członka i t. d. — Rozdział 2. Zajmuje przyczyny złamań w ogólności, które autor dzieli na uspasabiające i powodowe; uspasabiające są dwojakie: albo w całym organizmie, albo w saméj tylko kości złamanéj miejsce mające, *np.* choroby kości miejscowe, ich położenie, budowa, funkcya, do jakiéj w gospodarstwie źwierzęcém są przeznaczone i t. d. Powodowe także dwojakiego są rodzaju: albo siły zewnętrzne na samo miejsce złamania, lub na punkt

odleglejszy działające, zkąd powstają tak nazwane złamania *par contre-coup*; albo kurcz muskułów gwałtowny i niezwyczajny, który jeżeli, niekiedy, sam przez się do złamania nie wystarcza, tedy przynajmniéj działaniu przyczyn zewnętrznych skutecznie dopomaga. — Rozdział 3. Poznanie i oznaczenie złamań w ogólności opiéra na znakach dwojakiego rodzaju, jedne z nich każą się tylko domyślać natury obrażenia i złamaniom z innémi chorobami są wspólne, drugie samym tylko złamaniom są właściwe i żadnéj o naturze choroby wątpliwości nie zostawują; do piérwszych, oprócz uwagi na przyczynę działającą, odnosi ból i obrzękłość, ale z nich o bytności choroby jeszcze nic pewnego nie stanowi; do drugich: odmiany w kształcie zewnętrznym członka: co do długości, kierunku, względnego położeżenia odłamków kostnych, nierówności i wydatności odłamków; funkcyą członka mniéj lub więcéj przeszkodzoną; ruch w takiém miejscu kości, gdzie żadnego stawu w naturalnym nie ma stanie, i chrzęst jaki przy zetknięciu się odłamków i ich ociéraniu, albo się w palcach czuć daje, albo nawet uchem rozróżniony bydź może, i z tych ostatnich znaków, ze wszelką pewnością, do oznaczenia natury obrażenia przychodzi. Podaje przy tém prawidła, podług jakich śledzenie znaków złamania odbywać się powinno, aby lekarz i popełnienia bardzo szkodliwego w tym przypadku błędu uniknął, i choremu cierpiéń

oszczędził. W wątpliwym przypadku część obrażoną tak opatrywać radzi, jak gdyby było złamanie, nim poźniejsze śledzenie, po usunięciu przeszkód, poznanie choroby utrudniających, czego pewnego nie nauczy. — Rozdział 4. O zejściu złamań w ogólności. Rokowanie w ogólności uważa za niepewne dla tego, iż zejście choroby zależy od wielu warunków, nie tylko ze strony lekarza, ale nadto, ze strony i chorego i natury samego obrażenia, których przewidzieć nie można. Co do natury kości złamanéj, wielką upatruje w rokowaniu różnicę podług tego jak kość jest długa lub krótka, powierzchownie lub głęboko położona. Ze względu na miejsce, te złamania za najniebezpieczniejsze uważa, które się koło stawów zdarzają, i dla chorób artykulacyj, po zapaleniu, następujących, mianowicie zrośnienia powierzchni stawowych i dla szczupłych bardzo wymiarów odłamka wyższego lub niższego, który ani się ująć w leszczotki daje, ani ma dosyć naczyń, któreby i do jego karmienia i do processu, jakiego natura do połączenia złamanych kości używa, wystarczyły. Sposób złamania i rodzaj zboczenia odłamków, bardzo wiele na zejście choroby wpływa, równie jak i rozmaite okoliczności złamaniom towarzyszące; a mianowicie, współczesne obrażenia części miękkich z któremi się złamania komplikują, szczególniéj rany i wywichnienia. Nareszcie prędsze lub poźniejsze uleczenie téj choroby, zależy jeszcze od

wieku, ogólnego stanu zdrowia i t. p. Autor jednak, na własném doświadczeniu oparty, nie wierzy, aby po 60 roku życia uleczenie złamanych kości było nie podobne, i aby ciąża jakikolwiek wpływ na to miała. Nie małéj jeszcze wagi jest ta okoliczność, kiedy lekarz do nastawienia złamanéj kości jest wezwany; jeżeli się bowiem związki w nienaturalném położeniu kości już poformowały, nastawienie odłamków będzie nie podobne. — Rozdział 5. O leczeniu złamań w ogólności. Podawszy ogólne prawidła rozebrania i przeniesienia chorego, przy czém wszystkie skomplikowane machiny za niepożyteczne uważa, przystępuje do oznaczenia trzech głównych, w leczeniu złamań, wskazań: nastawienia złamania, opatrzenia i poźniejszego traktowania choroby. Nastawienie w niektórych złamania przypadkach niepotrzebne, ze trzech składa się części: naciągnienia, przeciwnaciągnienia i złożenia; naciągnienie i przeciwnaciągnienie, aby było skuteczne, powinno się odbywać za pomocą sił nie bezpośrzednio na członek złamany, ale do części z nim połączonych, zastosowanych, do czego ręce pomocników w największéj przypadków liczbie, wystarczają, tak, że machiny w tym celu zalecane zaledwo kiedykolwiek potrzebne będą, tém bardziéj, że nie wszędzie mieć je pod ręką można i trudno ocenić siłę, przy ich użyciu, na członek złamany wywartą. Po wyłożeniu prawideł, podług jakich naciąg-

gnienie i przeciwnaciągnienie w ogólności odbywać się powinno, podaje przepisy złożenia odłamków, stosownie do rodzaju zboczenia, rozmaitym odbywającego się sposobem, i kończy wyliczeniem znaków dobrze odbytego nastawienia. Aby nastawione już złamanie przez czas do uleczenia potrzebny na miejscu utrzymać, potrzebne jest przyzwoite i chorego, i części obrażonéj położenie, tudzież stosowne do przypadku opatrzenie: tu więc naprzód o wyborze łóżka i jego usłaniu, i o sposobach ułatwienia rozmaitych ruchów traktuje; przechodzi potém do opisania części, z których się opatrzenie składa i mając wszystko, jak potrzeba, przygotowane i porządkiem ułożone, do nałożenia stosownego apparatu przystępuje, zalecając, w złamaniu, członków wyższych, prostém, użycie bandaża cyrkularnego, który w złamaniu członków niższych zupełnie odrzuca i zastępuje przez bandaż Skultet'a albo wielogłowy; przy złamaniach ukośnych, kiedy zwyczajne opatrzenie zboczeniu odłamków przeszkodzić nie może, ucieka się do użycia machin dla utrzymania ciągłéj *extensyi*, a odsyłając po szczegółowe ich opisanie do drugiéj swego traktatu części, w tém miejscu rozbiéra tylko warunki, jakim, wszystkie w tym celu użyć się mające apparata, zadosyć czynić powinny, aby były pożyteczne. Po zrobieniu opatrzenia i przepisaniu stosownego sposobu zachowania się choremu, dalsze postępowanie leka-

rza rozmaicie urządza, podług tego, jak złamanie jest proste lub skomplikowane: w złamaniu prostém ogranicza się do użycia zimnych okładań, w piérwszych dniach choroby, przepisania stosownéj dyety, tudzież oznaczenia czasu, w którym się opatrzenie odmieniać powinno; w złamaniach skomplikowanych postępowanie lekarza, nieraz wielą trudności otoczone, bardzo jest rozmaite, podług nieskończonéj rozmaitości zdarzeń, jakie się przytrafić mogą: w złamaniu *np.* ze stłuczeniem nie tylko że opatrzenie z pewnémi ostrożnościami stosuje, albo je zupełnie odmienia, ale się nieraz, podług rozmaitego stanu części obrażonych i rozmaitego zejścia zapalenia, do najczynniejszych się chirurgicznych śrzodków ucieka, i tak: w krwotoku wewnętrznym, zwłaszcza z obrażonéj większéj arteryi nie raz zawiązanie pnia głównego zaleca, w ranach przez odłamek kości na zewnątrz wychodzący sprawionych, które za najważniejszą komplikacyą uważa, najpiérwéj odłamek stérczący, jeżeli rana jest széroka, na miejsce odprowadza, jeżeli zaś bardzo wązka i zaciśniona, przez obszérne cięcie rozszérza; jeżeli podobne obrażenia przez przyczynę zewnętrzną, zwłaszcza przy artykulacyach, są sprawione, i ze zgruchotaniem kości połączone, odcięcie członka jedynym często jest śrzodkiem, ale w téj rzeczy trzeba się trzymać pewnych prawideł, które w krótkości rozbiéra; w każdym z wymienionych przypad-

ków stosowne opatrzenie podaje i zatrzymawszy się dłużéj nad wyłożeniem prawideł, podług jakich chory taki prowadzony bydź powinien, przechodzi do uwag nad leczeniem złamań z wywichnieniem połączonych, które się najczęściéj bez odłożenia zostawić muszą. Niekiedy, po upłynieniu pewnego czasu, odłamki kości z sobą się nie łączą, z przyczyn miejscowych lub ogólnych, które w szczególności rozbiéra, zatrzymując się najdłużéj nad poznaniem tego chorobnego stanu kości, który Brechet skorbutem miejscowym nazywa, i podaje przepisy, jakich się, w takim przypadku, trzymać potrzeba. Jednakże, pomimo wszelkie usiłowania lekarza, formują się czasami stawy tak nazwane fałszywe, które dzieli na dwa rodzaje: jedne do stawów naturalnych podobne, drugie zupełnie różne; przeciwne w téj rzeczy autorów zdania godzi, przez dowody z Anatomii patologicznéj wzięte, i przez doświadczenia P. Chaussier na psach wykonane; z opisania natury fałszywego stawu przychodzi do wniosku, iż przypadek taki bez pomocy sztuki, żadnym sposobem, uleczony bydź nie może; wzajemne jednéj powierzchni kości o drugą, w téj chorobie, ocieranie za niepożyteczne uważa, równie jak odcięcie końców odłamków kości, które naprzód White, a po nim Langenbeck, Rowlands, Long, Physic z dobrym przedsiębrali skutkiem; bo operacya ta łączy się z boleśnémi cierpieniami i ciągnie za

sobą skrócenie członka, okoliczność wielkiego bardzo, zwłaszcza w złamaniu członków niższych, znaczenia, i przenosi sposób zależący na użyciu zawłoki podany naprzód przez Dra Physic z Nowego-Yorku; w ostateczności odcięcie członka za potrzebne uważa. W skróceniu członka następującém po złamaniach ukośnych, jeżéli substancya kostna łącząca oba odłamki jeszcze się zupełnie nie wykształciła i części są miękkie, ciągła *extensya* przez długi czas zastosowana może bydź pożyteczna; jeżeli zaś kości już się z sobą zrosły, wada się taka poprawić nie daje, i choremu przez dodanie obcasa pomagać radzi. Większego jeszcze jest znaczenia wykrzywienie członka, albo z nieumiejętnego opatrzenia, albo z niecierpliwości chorego, albo ze złego położenia następujące, i w tym przypadku albo użycie zawłoki, idąc za Weinholde'm, zaleca, albo nowe złamanie członka z najlepszym skutkiem raz w Wilnie wykonane. Nareszcie podaje przepisy jak się w przypadku zrośnienia powierzchni stawowych zachować trzeba. — Rozdział 6. Teorya formowania się substancyi kostnéj *callus* zwanéj. Autor w tym rozdziale zwraca naprzód uwagę na czas, jaki do zrośnienia się złamanych kości jest potrzebny, powtóre na okoliczności, jakie ten process przyśpieszyć lub opoźnić, albo nawet zupełnie wstrzymać mogą, potrzecie na warunki miejscowe do zrośnienia się kości koniecznie potrzebne, i, poczwarte,

na rozmaite teorye, jakie o tworzeniu się substancyi łączącéj złamane kości były podane. W téj ostatniéj 6go rozdziału części, odniosłszy wszystkie znajome dotąd sposoby pojmowania téj rzeczy do cztérech głównych teoryj, z których jedna powstawanie substancyi kostnéj przypisuje materyi klejowatéj występującéj z powierzchni odłamków kości, druga organizowaniu się krwi i następnemu jéj kostnieniu, trzecia zabliznieniu i kostnieniu błony przykostnéj i błony szpik otaczającéj i czwarta rozwijaniu się brodawek mięsnych na powierzchni złamanych kości, i przebiegłszy w krótkości naukę Haller'a, Duhamel-Demonceau, J. Hunter'a, Bordenave i Bichat'a, najdłużéj się zatrzymuje nad teoryą Dupuytren'a i w całéj ją rozciągłości rozwija, rozbiéra potém przyczyny wielkiéj rozmaitości zdań co do pojmowania początku substancyi łączącéj złamane kości, i wyprowadza wnioski, jakie z dokładnego poznania tego processu, lekarza w praktyce obchodzą.

Część 2ga zaymuje naukę o złamaniach w szczególności i na cztéry dzieli się rozdziały: o złamaniach kości głowy, o złamaniach kości tułowia, o złamaniach członków wyższych i o złamaniach członków niższych.— Rozdział 7. O złamaniach kości głowy, zajmuje tylko same kości twarzy, a mianowicie: 1. kości nosa, 2. kości jarzmowe, 3. szczękę wyższą i 4. szczękę niższą; nauki,

o złamaniach kości czaszki, zupełnie od złamań innych kości i ze względu sposobu powstawania, i następstw jakie za sobą prowadzą i co najwięcéj, ze względu sposobów jakiémi się leczyć zwykły, odstępujących, jako właściwie do Chirurgii praktycznéj należącéj, w tym rozdziale, nie zajmuje.—Rozdział 8 o złamaniach kości tułowia mieści w sobie naukę: 1. o złamaniach pacierzy, 2. o zł. kości mostkowéj, 3. o zł. żeber i 4. zł. kości miednicy; te zaś ostatnie, dla większego w wykładzie porządku, dzieli: a. na zł. kości bezimiennych, b. złamanie kości krzyżowéj, i c. zł. kości ogonowéj. — Rozdział 9 o złamaniu członków wyższych, obejmuje naukę: 1. o zł. łopatki, 2. zł. obojczyka, 3. zł. ramienia, które dzieli na: a. zł. szyjki ramienia, b. zł. ciała ramienia, c. zł. ramienia nad kłykciami niższémi i d. zł. samych kłykciów ramienia, 4. zł. przedramienia, dzielącego się na a. zł. przedramienia właściwie tak nazwane, to jest obie kości zajmujące, b. zł. kości sprychowéj, c. zł. kości łokciowéj, d. o zł. jéj wyrostków osobno z kolei traktuje; daléj następują, w tym rozdziale, 5. zł. kości pięści, 6. zł. kości dłoni i 7. zł. palców ręki. — Rozdział 10 o złamaniach członków niższych, a mianowicie: 1. zł. uda, 2. złamanie rzepki, 3. zł. goleni i 4. zł. saméj stopy; złamania kości udowéj dzieli jeszcze na: a. zł. szyjki kości udowéj, b. zł. części śrzedniéj uda, c. zł. kości udowéj pod krętarzem mniejszym, d. zł. kości udowéj w czę-

ści téj najniższéj, e. zł. kłykciów udowych, f. zł. krętarza większego; złamanie kości goleni dzieli także na a. zł. goleni właściwie tak nazwane, to jest obie kości téj części członka zajmujące, b. zł. kości goleniowéj większéj i c. zł. kości piszczelowéj; w złamaniach kości stopy rozróżnia: a. zł. kości piętowéj i b. zł. kości stopy i palców w ogólności.

Nie możemy się nad każdym z wyliczonych tu szczegółów osobno zatrzymywać, bobyśmy daleko za granicę tego pisma przejść musieli, przestaniemy więc tylko na skreśleniu w najogólniejszych rysach, główniejszych części tego pisma razem wziętych, abyśmy jakiekolwiek wyobrażenie dadź mogli i o jego układzie i o stanowisku z jakiego autor rzecz swoję uważał. Po oznaczeniu każdego złamania w szczególności, mówi naprzód o przyczynach od jakich zwykle powstają i o istotnych różnicach jakie z tego powodu w jednéj i tejże saméj postrzegają się chorobie; tak, że ztąd naturalnym przychodzi porządkiem, do ustanowienia rozmaitych podziałów złamania, nie tylko pod względem przyczyn ale i sposobu wzajemnego oddalenia się odłamków, bardzo od siebie różnych; gdy zaś całe poźniejsze traktowanie chorego właśnie na poznaniu rodzaju zboczenia odłamków zależy, ztąd się niekiedy autor dłużéj, w téj części swojego traktatu, zatrzymuje; idzie potém z kolei do oznaczenia znaków każdemu złamaniu właściwych i

sposobu rozróżnienia od innych chorób, z którémi większe lub mniejsze podobieństwo mają, daléj traktuje o zejściach jakich się spodziewać można i o fenomenach na jakich się lekarz w rokowaniu opiérać powinien; nareszcie przystępuje do ostatniéj najważniejszéj, swego traktatu, części, to jest, do sposobu traktowania choroby, i zaczyna od rozbioru wyobrażeń jakie dawni lekarze o téj chorobie mieli, aby dadź poznać powody rozmaitego postępowania w nastawieniu odłamków, najistotniejszym dobrego zejścia warunku; w téj bardzo ważnéj, nauki o złamaniach, części, przed wszystkiém, stara się rodzaj zboczenia i kierunek sił przez jakie sprawiony został oznaczyć i na tém oparty postępuje daléj, w wyborze śrzodków do nastawienia użyć się mających i sposobów jakiémi się naciągnienie i przeciwnaciągnienie odbywać powinno, mając wszędzie wzgląd na różnice zboczenia, naturę choroby i jéj z innémi obrażeniami połączenie, na wiek chorego i inne okoliczności, które nastawienie utrudnić lub ułatwić mogą; po nastawieniu odłamków przystępuje do opisania sposobów, jakiémi je na miejscu, przez czas do zrośnienia się potrzebny, utrzymać można, i historycznym porządkiem przechodzi wszystkie główniejsze apparata jakie w tym celu były podane, dzieląc je, dla ułatwienia wykładu i powzięcia dokładniejszego o ich użytku wyobrażenia, na pewne klassy, podług główniejszych charakterów jakie im są wspól-

ne, podług głównych początków na jakich były oparte; np. traktując o złamaniu obojczyka nie wylicza, bez pewnego porządku, wszystkich sposobów, jakie, do leczenia téj choroby, z kolei wieków, były podawane, ale je dzieli na dwie wielkie klassy, podług dwóch głównych zamiarów, jakie, lekarze rozmaitém o naturze choroby prowadzeni wyobrażeniem, w jéj leczeniu, otrzymać chcieli; piérwsza z nich zajmuje sposoby mające na celu pociąganie bark i ramion ku tyłowi i zbliżanie, tym sposobem, oddalonych od siebie odłamków, druga dąży do tego, aby nie tylko barki cofnąć ku tyłowi, ale razem ramiona podnieść do góry i zwrócić cokolwiek na zewnątrz; podobnie w złamaniu szyjki kości udowéj, dla uniknienia nieużytecznego wyliczania nieskończonego mnóstwa aparatów i machin, wszystkie sposoby leczenia złamań téj kości dzieli, także, na dwie główne klassy, to jest, na takie, przy których użyciu nie dawano żadnéj na utrzymanie ciągłéj *extensyi* i *kontraextensyi* uwagi i na sposoby przy których właśnie o ciągłéj *extensyi* i *kontraextensyi* myslеć zaczęto; tę zaś ostatnią dzieli jeszcze na mniejsze poddziały, podług tego, jak siły, do naciągnienia i przeciwnaciągnienia użyte, już do zdrowego już do złamanego stosowano członka, przy jego pozycyi schylonéj lub wyciągniętéj i t. p.; oznacza przyczyny tych odmian, wypadki z doświadczenia wyciągnięte, i z krytycznego ich rozbioru i z oznaczenia głównych,

w leczeniu złamań, wskazań, przychodzi do ustanowienia warunków, jakim każde opatrzenie zadosyć uczynić powinno, aby się z korzyścią użyć mogło i na tém się opiéra w wyborze najstosowniejszego, w każdym przypadku, opatrzenia, usiłując prostym i najmniéj skomplikowanym sposobóm, przed innémi, dadź piérwszeństwo.— W ważniejszych przypadkach dyetetyczne dla chorych podaje przepisy.

Wykład ten krótki treści dzieła Doktora P. Józefa Mianowskiego może dadź, rzecz znającym czytelnikóm naszym, wyobrażenie o jego wielkiéj wartości, pod względem, dostatecznego zgłębienia, objęcia i prawie wyczerpania traktowanego przedmiotu, tudzież o porządku i planie, w jego jasnym i dobitnym wykładzie. Wszelakoż, oddając winną sprawiedliwość, tym jego przymiotóm, nie możemy nie wytknąć pewnych uchybień, o których, sądząc dzieło, mniéj zalet mające, zamilczećby może wypadało. I tak:

Nie tylko w opisaniu machin ale i w części anatomicznéj często cudzoziemskich używa wyrazów.

W r. 5. przestaje na samém tylko wyliczeniu części do opatrzenia potrzebnych, odsyłając po dokładniejsze opisanie do Desmurgii, gdy tymczasem w książce do praktycznego użycia przeznaczonéj, wszystko to miejsce znaleźć było powinno.

W r. 1. Nie przyjmuje złamania niezupełnego, które chociaż rzadko, zdarzać się je-

dnak może, jak nas uczą postrzeżenia *Cooper'a* (*) i *Eckl'a* (**) którzy podobne złamanie, przy pośmiertném sledzeniu ciała w szyjce kości udowéj, znaleźli — *Campaignac* (***) toż samo na kości goleniowéj widział, a *Meding* (****), przez doświadczenia na psach przedsięwzięte, rzez tę potwierdził.

Chociaż się żadnéj szkoły wyłącznie nie trzyma, więcéj jednak przylgnął do opinii niemieckich uczonych.

Ale są to lekkie uchybienia, które nie wadząc bynajmniéj użyteczności, ze wszech miar przydatnego i jedynego, w naszym języku dzieła, dowodzą tylko, że w najlepszych robotach ludzkich, nie może się obejśdź bez jakiegoś zarzutu.

Powierzchowne zalety wydania w niczém nie ustępują ozdobnym edycyom zagranicznym; z czego już oddawna, zamożnie opatrzona drukarnia P. *Józefa* Zawadzkiego i gust jéj dyrektora *Krystyana* Weissa, znane są, chlubnie, czytającéj publiczności.

— Pszczelnictwo ogrodowe czyli domowe, przez Józefa Strumiłłę, autora ogrodów północnych, z figurami litografowa-

---

(*) Chir. Handbibliothek. Bd. VI. Abth. 1. s. 173.
(**) Bericht über die Ergebnisse in dem Chir. Clinicum der Univer. zu Landshut. Landsh. 1826. s. 34.
(***) v. Froriep's Notizen. N. 321.
(****) Zeitschrift für Natur- und Heilkunde. Dresd. 1824. Bd. 3. s. 305.

némi. — Wilno. — Nakładem autora, w drukarni dyecezalnéj. — 1837. in 8vo str. IX i 192, tudzież 3 str. regestru, z dwiema tablicami litografowanémi u P. A. Klukowskiego.

Niezmordowany autor *Ogrodów Północnych* przez wydanie niniejszego dzieła, uzupełnił naukę o korzyściach jakie w gospodarstwie z ogrodów dobrze urządzonych, otrzymywać można. Pożyteczna ta jego praca zachęci może nie jednego, do wskrzeszenia u nas gałęzi wiejskiego przemysłu, która tyle niezawodnych korzyści obiecuje. Zwłaszcza, że w książce P. Józefa Strumiłły nic nieopuszczono, cokolwiek, za naukę i przewodnika, w chodzeniu około pszczół, posługiwać może. Na końcu dołączony *Rocznik pszczelny*, za rękę, że tak powiém, prowadząc, pokazuje, co w jakim miesiącu bartnikowi skrzętnemu czynić potrzeba, żeby celu swojego dostąpił. Słowem, nic tu niezaniedbano, co dzieło utyliterne, za podręczne, w praktyczném zastosowaniu przeznaczone, dostateczném, pod wszystkiemi względami, uczynić zdoła. Spodziewamy się, że ta książka, równie jak poprzedzające dzieła P. Józefa Strumiłły, znajdzie dla siebie dobre u Publiczności przyjęcie, a może się i przyczyni do podniesienia przemysłu gospodarskiego.

— Regulament kurlandzkiego towarzystwa kredytowego. — Wilno. — Nakładem

i drukiem *Józefa* Zawadzkiego. — 1837. in 8vo str. VIII i 120.

Cel wytłumaczenia na język polski tudzież ogłoszenia drukiem tych ustaw wyraził wydawca na ich wstępie:

«Nim przystąpimy do ułożenia projektu na utworzenie banku gubernialnego, potrzebna nam była wiadomość, jakie były zasady podobnegoż banku w sąsiedniéj gubernii kurlandzkiéj.

«Przekonany o dobrém, jakie ztąd spłynęłoby dla dworzaństwa gubernii wileńskiéj, JW. Hrabia Mikołaj Zubow Szambelan J. C. M. i kawaler, kosztem swoim postarał się o wytłumaczenie, na język polski, Regulamentu kurlandzkiego związku kredytowego:— tłumaczenie to podaje się do druku dla oznajomienia dokładniejszego z tym przedmiotem dworzaństwa gubernij zachodnich. Tu możemy czerpać zasadnicze prawidła oraz sposoby doprowadzenia do skutku i rozwinięcia całéj manipulacyi kredytowego związku.

«Mając ten wzór przed oczyma, należy nam tylko zastanowić się, w czém potrzebne bydź mogą odmiany, w zastosowaniu do praw i zwyczajów naszych, oraz do miejscowych okoliczności i położenia. A zbiór tych uwag, które łaskawi czytelnicy raczą udzielać, pod adressa JW. Marszałka gubernskiego wileńskiego, Rzeczywistego Radzcy Stanu, Komandora i kawalera Marcinkiewicza Żaby, rzuci światło, na ten tak ważny przedmiot, posłuży do ułożenia zastosowa-

nego do potrzeb i położenia gubernii wileńskiéj a może i sąsiednich gubernij zachodnich, projektu ustawy związku kredytowego."

Próbkę uwag, do robienia których wzywają się czytelnicy *Regulamentu*, ogłosił już wydawca, w przypiskach czyli *adnotacyach*, do textu kurlandzkich ustaw kredytowych. Nie wadziłoby może gdyby ktoś i nad témi *adnotacyami* także zrobił swoje uwagi; niektóre bowiem z nich, nie zdają się sprzyjać surowéj i nieubłaganéj ścisłości, niezbędnéj w bankowych instytucyach; bez czego wszakże, zapewnienie kapitałów, a zatém i kredytu niezachwianego ugruntować nie można.

— Wianek. noworocznik na rok 1837. zebrany i ułożony przez *Karola* Korwella. Zawiérający w sobie oryginalne utwory prozy i poezyi, z *sześcią rycinami i muzyką.* Wydany przez *Józefa* Kaczanowskiego. — W Warszawie, — w drukarni Łątkiewicza, przy ulicy Senatorskiéj Nr. 467. in 12. str. 299.

Umieszczamy tu poczet pisarzów wraz z tytułami ich płodów wiérszem i prozą, którémi się do utworzenia tego interesującego i smakownego zbioru, ulotnych, po większéj części, poezyj, tudzież pięknéj, częstokroć, prozy, przyłożyli:

POECI.

Autor Babiego-Lata: *Pawie-oko* (motyl),— *Trzynasty rok mego życia.*—B... A..

Marko i Luty Bogdan, pieśń serbska. — Burski Alexander: *Piosnka podróżnego*, — *Mogiła.* — Dziewicki Seweryn i Teodor J.: — *Piorun, Ballada karpacka.* — Nowosielski Teofil: *Przejażdżka po jeziorze*, — *Do A. J. Sz...* — Szabrański A. J. — *Zamyślona*, — *Nagroda śpiéwaka*, — *Pokuta Niniwy.* — *Stanisław* z Dzikowa: *Zegary powieść*, — *Pieśń wiosenna.* — Starzyński *Stanisław* Hr. Do J. S.... — Z. J. G. D. — *Z Al. Puszkina.* — Z. B... — *W Imionniku* *** — Zieliński *Wiktoryn* — *Wyjątek z poematu Kobiéta*, — *Do mojéj gwiazdki pieśń.* — *Dzień dobry pieśń.*

PROZAICY.

Anonim: — *Topielec.* — *Matylda, moja piérwsza a razem i ostatnia miłość.* — Korwell *Karol*: — *Oto jest królowa francuzka, powieść zasięgająca czasów piérwszéj ćwierci zeszłego wieku*, — Malecka *Wanda*: — *Ideały i Rzeczywistość.* — Sk... Fr... Hr. — *Podróż Dunajem, od Ratyzbony do Wiédnia.*. Szabrański A. J. — *Ecyn Gieraj, powieść z 1594.* — *Klecha, obraz.*

Z pomiędzy wyszczególnionych tu kompozycyj, odznaczają się wzbudzeniem interesu, mianowicie: *Ecyn Gieraj*, powieść pełna ruchu, akcyi, powabnych i naprzemiany okropnych opisów, która, w wielu miejscach wschodnią wonią oddycha; *Wysoki zamek*, *szkic* Wojcickiego, którego treść dostatecznie rozwinięta i wyczerpana w szczegółach,

wystarczyłaby na ułożenie wielkiego romansu historycznego; *Podróż Dunajem*, zamożna w uroczne opisy i pamiątki czasów ubiegłych. W poezyi, wyższym lotem pomysłów celuje P. Szabrański, tkliwością P. *Wiktoryn* Zieliński.

W ogólności, tak wiérszem jak prozą, najmniéj szczęśliwie udały się utwory dorabiane do rycin; czego, wszakże, wyrzec o *Matyldzie* nie mamy serca. Scena bowiem téj powieści odbywa się w Wilnie; gdzie malownicze okolice, Kalwarya, Werki, nadbrzeża Wilii, mianowicie teraz, w wiosennéj czasu dobie, przy bladém świetle księżyca, zdają się ukazywać wnoszący się ponad niémi, albo wśrzód ich bujnéj zieloności błąkający się anielski cień Matyldy, któréj przywiązanie do matki, miłość, poświęcenie się dla kochanka i zgaśnienie w kwiecie wieku tak tkliwie są tu wystawione!

O rycinach sprawiedliwie powiedzieć można, że są mistrzowskiéj ręki; ale szkoda tylko, iż roboty obcych artystów, którzy o *Wianku* nie myśleli; dla tego też ani do formatu książki, ani do topografii, ani do stroju osób występujących tu na scenę nie przypadają.

Kompozycye muzykalne PP. Nowakowskiego i Wilczka, lubo nie pomnożą, zaiste, bogactw téj pięknéj sztuki, w niczém atoli jéj nie ubliżą.

KRZYSZTOF KOLUMB.

BALLADA.

„Cóż nowego Fernandzie? twa postać zmieniona
„Powiedziała nieszczęście nim głos wyszedł z łona!"
—„Niestety! wszystkie moje daremne zabiegi!..
„Bunt wybuchnął!... i jeśli obiecane brzegi
„Nie zjawią się — tyś zginął!.. zburzeni majtkowie,
„Za mylne obietnice — grożą twojéj głowie!"

Ledwie te domówił słowa,
Gdy osada okrętowa
Z krzykiem do kajuty (*) wpadła.
Żmija rospaczy osiadła
Wywiędłe od głodu lica.
Głęboko wpadła źrzenica
Wściekłością gore szatana. —
„Gdzież ta ziemia obiecana,
„Zrzódło skarbów niezmierzonych?...
„Kłamstwy twémi uwiedzionych,

(*) Tak się nazywa izba kapitana okrętu w Rossyjskiéj marynarce; u nas nie było floty, zatém i nazwisk: słyszałem o istniejących dotąd prawidłach Władysława IV, dla rozpoczętéj już się budować floty, ale mi się ich nigdzie widzieć nie udało. W nich mają bydź nazwiska polskie części okrętu i manewrów morskich. (*Tłumacz.*)

„Wyrwałeś z rodziny łona!
„Ale, nim głód nas dokona,
„Straszną zemstę weźmiem z ciebie!...“

Kolumb, z męztwem godném siebie,
Poważnie do tłuszczy rzecze: —
„Głód was i pragnienie piecze;
„Jeśli te krwią się ukoją,
„Zgoda!.. wypijcie krew moją;
„Lecz mię niedługą proszę obdarzcie przewłoką...
„Niech ogląda raz jeszcze słońce moje oko.

„Jeżeli wam jutrzejsza nie odkryje zorza
„Przyobiecanych brzegów nieznanego morza;
„Oddaję wam mą głowę!... lecz póki zadnieje,
„Płyńmy!.. i w Bogu nasze połóżmy nadzieje!..“

Cześć wzbudzająca postawa rycerza
Straszliwą burzę na chwilę uśmiérza. —
„Do jutra tylko!.. no, zgoda!
„Lecz gdy ziemia obiecana
„Nie ukaże wam się zrana,
„Wiész jaka zdrajcóm nagroda!“....

Stanęła straszna umowa!....
Ze świtem, wielkiego człeka,
Albo słońce sławy, czeka,
Albo wieczna noc grobowa!...

Ciężar mogiły pierś jego tłoczy,
Od snu dalekie przez całą noc oczy
W zachodnią ciągle skierowane stronę,
Siłą się przedrzéć mroki zagęszczone.

„O! dmijcie wiatry!.. przez nieznane morza
„Pędź lotem ptaka chyża moja łodzi!
„Niech, póki ranna zapali się zorza,
„Ujrzę granice bezbrzeżnych powodzi!
„Niech nie zgasną me oczy, nie ujrzawszy ziemi,
„Którą Bóg mi objawił, dumami wieszczémi.
„A ty Wszechwładco wschodu i zachodu!
„Zbaw tych nieszczęsnych, co mi wiarę dali!..
„Niechaj nie zstąpią w grób bezdennéj fali,
„Straszliwą śmiercią pragnienia i głodu!“

Tak dumał Kolumb! wtém śpieszne stąpanie
Przerwało nagle jego zadumanie.—
„No cóż Fernandzie!“—„Ach! wszystko zgubione,
„Już ranek wschodnią zarumienił stronę!“.....
—„Smiało Fernandzie! każde światło z nieba!
„Pan Bóg wié lepiéj jak rządzić potrzeba.
„Jego mądrości przedwieczna potęga,
„Co obu razem biegunów dosięga,
„Gdy nieuchybną śmierć mi już przeznaczy,
„Jéj straszną chwilę osłodzić mi raczy.“

„Żegnaj Kolumbie! oto już szaleni
„Biegą tu! zemstą szatańską wiedzeni!“..
Ledwo domówił te słowa,
Już osada okrętowa
Z krzykiem do kajuty wpadła!..
Twarz bohatyra nie zbladła.
„Oto mię macie! rzecze, wiém ja co mię czeka;
„Lecz wskazanym wam szlakiem krajcie sine morze,
„Bo koniec nędzy waszéj — ziemia — niedaleka...
„A Ty! im, obłąkanie racz przebaczyć Boże.“

Krwi żądne krzyki tłuszczy odbiły się w piekle,
Wszystkie czci i karności wędzidła zerwane;
I już wielkiego męża porwali zaciekle!.......
Aż wtém z wierzchołka masztu słowa niespodziane:—
„Ziemia!.. ziemia!..“ szalonych wśród zbrodni zatrzyma;
Staje każdy na zachód strzelając oczyma.

Dal odmętów obwita wstęgą purpurową!..
„To zbawienia brzeg, zorzą oblany wschodową!..
„To ziemia jenijalnym pomysłem zgadniona!“
Pada do stóp Kolumba tłuszcza ukorzona.
O przebaczenie prosząc ugina kolana
I uwielbia Opatrzność przedwiecznego Pana.

(*Luiza* Brachmann. —
Przekładał *Marcin* Ossorya Ci.)

Myśli z Jean Paul'a Rychtera.

Nie dosyć jest znosić cierpliwie nieszczęścia i przeciwności, lecz trzeba się starać je odeprzeć. Bądź podobnym do salamandry, która nie tylko ogień wytrzymuje, lecz zagasić go jest mocna; ale nie naśladuj Turka, który z zupełném poddaniem się losowi, widzi swój dóm palący się, lecz nie ma mocy, iżby chciał go od pożaru uchronić.

Duchowni, co nam drogę do nieba wskazują, nie zawsze mają czas ją naprawiać i prostować, nadto, kto latarnią niesie, częściéj spotyka się i pada, niż za nim idący, któremu on przyświéca.

Filozoficzne pocieszenia nie tak zmniejszają dotkliwość cierpień, jako raczéj pomnażają radość i przyjemności, ponieważ w szczęściu zapewniając nam nadzieję długiego trwania uciech i wolnego od trosk życia, oddalają obawę wszelkich nieszczęśliwości obietnicą łatwego ich zniesienia.

Aby patrzéć na pewne piękności i należycie je oceniać, równie jak pojmować pewne prawdy, należy miéć serce równie uczu-

ciem rozszérzone i oczyszczone, jak głowę. Między niebem a ziemią zawieszone jest wielkie zwierciadło kryształowe, na które świat nowy, niewidzialny, rzuca swe wielkie obrazy, lecz tylko nieskalane oko dziécka czysto je postrzegać może, kiedy plugawe oko źwierzęcia nigdy nawet zwierciadła nie dojrzy.

Cnota, większéj części ludzi, jest tylko nadzwyczajnym dodatkiem, wiérszem z powodu jakiegokolwiek zdarzenia w ich codziennném, powszedniém życiu; jednak zdarzały się genjusze, w których wzniosłém, pełném chwały życiu, cnota była bohatyrką, a wszystko inne dodatkiem, nieznaczącym wstępem, i których wzniesieniu się nad ludzi, gmin bardziéj się podziwiał, niżeli zdumiewał się z uwielbieniem.

O ludziach dobrych słyszeć, jest jedno co żyć w pośrzód nich, i żywoty sławnych mężów przez Plutarcha, działają silniéj i skuteczniéj, aniżeli najlepsze książki naukowe, o filozofii moralnéj, dla użytku słuchaczów akademickich, wydawane. Dla dzieci nie ma lepszéj nauki obyczajowéj nad przykład opowiadany, lub widzialny, ztąd przesądem jest w wychowaniu mniemać, iż przez prawidla moralne nie tylko wrażają się dzieciom same zasady, lecz nadaje się im siła i chęć do tych prawideł się stosować.

Słabszy daje silniejszemu żywszą i obfitszą miłość, aniżeli odeń odbiéra. Ztąd kobiéta kocha silniéj i czyściéj mężczyznę, gdyż ubóztwia w nim obecny przedmiót serca swego, kiedy on w niéj częściéj widzi urok i znikomy obraz swéj chwilowéj fantazyi, ztąd też rychło przemienia się w uczuciach.

O! czémże są godziny czytania do serca idącego, nawet chwile samotnego uniesienia się pałającym duchem, w porównaniu z jedną chwilą, kiedy wielka dusza ożywczym sposobem na ciebie działa i swą obecnością podwaja twoję duszę i twoje ideały a twórczą potęgą twym myślóm widomy kształt nadaje?

Z człowiekiem dzieje się jak z kwiatami, im silniejsza jest burza, tym obfitszą i przyjemniejszą wonią z siebie wydają.

Serca kobiét podobne są często do drogich szlachetnych kamieni, w których przy najpiękniejszych kolorach, komar lub mech są zasklepione.

Kraty z ciała i kości, jak nieprzełamane zapory oddzielają dusze ludzkie, a człowiek marzy, iż jest na ziemi serdeczne w obję-

ciu uściśnienie, kiedy tylko te zapory uderzają o siebie, poza któremi jedna dusza o drugiéj zaledwo się domyśla.

Z pisarstwem dzieje się tak samo jak z miłością: — obojga przez czas długi można nie znać, można zarówno pożądać i obejśdź się bez nich; lecz skoro raz piérwsza iskra od nich wpadnie do twego składu prochowego, wnet zajmie się pożar, który nie ustanie, aż nim wszystko do szczętu się nie wypali.

Miłość, równie jak człowiek, częściéj umiéra z nadmiaru i przesycenia, aniżeli z głodu; — ona żyje miłością, ale podobną jest w tém do roślin alpejskich, które utrzymują się wciąganiem wilgoci z obłoków, lecz natychmiast giną, gdy je skropisz wodą.

Człowiek, który w dążeniu do dalekiego celu długą odbył podróż, obraca się nakoniec niezaspokojony i pełen nowych żądań spoglądając na dokonaną drogę, co mu tyle zabrała skąpo wymierzonych godzin i którą on, jak Medea, posiał członkami swego życia.

Ach! dla czegoż człowiek chętniéj zwraca się ku minionym czasóm, aniżeli tęskni do przyszłości; gdy tylko do Boga wyłącznie

już należy przeszłość, a człowiek jedynie ma przed sobą przyszłość?

Wtenczas nawet, gdyby wszystkie lasy na téj ziemi były jak roskoszne ogrody, wszystkie doliny jak kampańskie, wszystkie wyspy błogosławione, wszystkie pola jak elizejskie, gdyby wszystkie oczy śmiały się wesołością i roskoszą, — wtenczas, nie, — wtenczas Nieskończony dla ducha naszego przez tę szczęśliwość dałby przysięgę wiecznéj trwałości — lecz dopiéro o Boże! kiedy w tylu domach smutek, płacz i żałoba obrały pomieszkanie, gdy pola przemieniły się w pobojowiska, gdy tyle jest ust śmiertelną powleczonych bladością, gdy na każdym kroku napotykamy tyle wyżółkłych, krwią nabiegłych, szałem obłąkanych i zamkniętych oczu: o! miałażby mogiła, ten port zbawienny, bydź nakoniec ostatnią, wszystko pożerającą otchłanią? I gdyby nakoniec po tysiącach tysięcy lat, ziemia nasza ogniem słońca była zniszczona, gdyby wszystkie żyjące głosy na niéj zamarły, miałżeby duch nieśmiertelny, spoglądając na martwą kulę i widząc przeciągające, wśród czczych obrzędów, wozy pogrzebowe, powiedzieć: «Oto jak cmentarz przed biédnym rodem ludzkim zapada do krateru słońca — na tém zgliszczu niegdyś snuło się wiele cieni, unosiło się wiele marzeń i znikomych postaci, błąkając się wśród płaczu i krwi strumieni, lecz

dopiéro wszystkie w proch rozmiecione z dymem uleciały — idźże i ty, leć do słońca na zatracenie, niema pustynio krwią oschłą i łzami przesiękła!» Nie, — zdeptany robak mógłby wówczas wyczołgać się przed oblicze Stwórcy i rzec: Czyliż na same tylko cierpienia mogłem bydź stworzony? I któż robaka ośmielił do tych roszczeń? — Sam Wszechmogący, co nam dał litość, który we wszystkich przemawia, aby nas uspokoić i sam tylko mógł życzenia i nadzieje ku sobie w sercach ludzi obudzić.

Nowe odkrycie w Chemii.

A. Humboldt przysłał do Akademii Nauk Paryzkiéj wiadomość o nadzwyczajnie ciekawém odkryciu Goepperta Professora w Uniwersytecie wrocławskim. Ten badacz natury pilnie zajmując się wykryciem własności roślin skamieniałych (*plantes fossiles*), wynalazł sposób przemieniać twory roślinne lub źwierzęce na twory ziemiste (*terreuses*) i metalliczne, bez najmniejszego uszkodzenia ich tkanki i wewnętrznego składu (*tissu et structure*). Wystawując ciała organiczne na wpływ solucyj nasyconych (*solutions concentrées*) potrafił on bez naymniejszéj zmiany lub uszkodzenia przekształcić cząstki organiczne (*molecules*) w ziemiste. Najpodobniéj iż silny ogień na który on wystawia ciała

organiczne, rozszerzając ich pory, dozwala solucyi ziemnéj i metallicznéj przenikać do cząstek tych ciał i po zupełném ich zniszczeniu przez się zastąpić ich miejsce. Wynalazca obiecuje nadesłać Akademii opis szczegółów używanego przezeń, ku temu celowi processu chemicznego, a tymczasem przysłał jéj kilka, naprędce przygotowanych, próbek sosny balsamicznéj (*pinus balsamea*), w stanie naturalnym i zmienionych za pośrzednictwem solucyi niedokwasu wapna, oraz gałąź rośliny *cactus seppentinus* przyrządzoną przez użycie solucyi niedokwasu żelaza.

Przedrukowywanie książek francuzkich.

Oddawna autorowie i księgarze francuzcy głośno się uskarżali na niesumienne przedrukowywanie książek francuzkich w Belgii, w brew wszystkim prawom, pozbawiające autora nagrody za pracę, a księgarza zysków od kapitału, przezeń na drukowanie dzieła obróconego. Nakoniec wielu z księgarzy paryzkich prosiło na pismie wdania się i obrony swego rządu i w skutek téj ich prośby, na zalecenie ministra oświecenia, złożona została oddzielna kommissya dla wynalezienia śrzodków ku odwróceniu téj szkodliwéj niedogodności. Prezydentem kommissyi mianowany jest Villemain, w liczbie zaś członków jéj są: Arago, Lamartine, Rossi, Wiktor Hugo; księgarze: Didot, Ré-

nouard, Hochette i inni. Plan i cel téj kommissyi wyjaśnione są w następującym liście ministra, do prezydenta kommissyi P. Villemaine.

«Przedrukowywanie ksiąg francuzkich za granicą codziennie się wzmaga, w miarę pomnażających się zysków i powodzenia. Przedrukowywacze nic nie płacąc autoróm, wolni od wszelkich wydatków nieuchronnych przy pierwszém wydaniu dzieł oryginalnych, nie wystawując się na żaden hazard przez to, iż przedrukowują te tylko dzieła, których wziętość i powodzenie nie podlegają wątpliwości; — przedają za nizką cenę księgi, jakie we Francyi kosztowały wiele pracy, trudów i wydanie których wymagało znacznych kosztów. Jeśli tak dłużéj potrwa, nie będzie odbytu na książki francuzkie za granicą, i ruch handlu książkowego przywiedzie się tylko do konsumpcyi wewnętrznéj. Kosztowne celniejsze wydania, ważne płody literatury i rozległe prace uczonych, zostaną pozbawione sposobności dostania się za granicę; — a skutkiem tego będzie przerwanie prac pożytecznych i ważnych: handel książkowy zmuszony będzie ograniczyć się do wydawania książek lekkiéj treści, których liczba i tak już zanadto zwiększyła się w przeciągu lat ostatnich. Rząd przeto postanowił użyć całéj swéj władzy, dla usunienia tego nadużycia. Kommissya, któréj WPan naznaczony jesteś prezydentem, powinna wynaleźć środki dla zniesienia przedrukowywania ksią-

żek, bądź za pośrzednictwem sposobów prawodawczych, lub też, przez stosunki z władzami za granicą. — Życzeniem jest mojém, aby kommissya niezwłocznie przystąpiła do poruczonego jéj dzieła i zebrawszy wszystkie wiadomości, wyjaśnienia, potrzebne dla postanowienia o tém pytaniu, aby przedstawiła mi swój wniosek, o śrzodkach jakich użyć potrzeba i przywieśdź do skutku w tym razie. Upraszając WPana pomocy i wszystkich członków kommissyi, mam nieomylną nadzieję, iż WPan wraz z nimi gorliwie i czynnie nie omieszkacie przyłożyć się do wykonania przedsięwzięcia tak wielkiéj wagi, pod względem nauk, literatury i jednéj z najcelniejszych gałęzi naszego przemysłu krajowego."

BIBLIOGRAFIJA DAWNA POLSKA.

Pisma niektóre treści duchownéj, w Sankt-Petersburskiéj Cesarskiéj *bibliotece opisane, o których* Bentkowski *tudzież dalsi bibliografowie zamilczeli* (*).

— 31. Absurda Synodu Toruńskiego, który mieli Ewangelicy w Toruniu R. P. 1595.

(*) Ob. Tomik trzeci *Wizerunków* str. 169 i nast., Tomik ósmy str. 137 i nast., Tomik 11 str. 134.

Mense augusto i teraz do druku podali R. P. 1596. 4to str. 45. na końcu Theophil Kosmopolski (zapewne *pseudonym*).— Wydawca czy autor téj książki dodał pół ark. wiérszy uszczypliwych ale niezgrabnych.

— 32. Tractat albo Rozpráwa krótka, na czas pamiątki piérwszego przyścia na świat, to jest, narodzenia Syna Bożego P. Jezu Krysta. Thoruni *Excud.* Andr. Cotenius. A. MDXCVII. (1597). 4to ark. 7.— Na odwr. wiersz łac. do Jana Rusinowskiego, Jana Ostromieckiego, Simo. Ostromieckiego, Woyc. Dorpowsk. przez M. Huldr. Schob. Ded. do tychże podpisał autor książki X. Andrz. Tamnitjus w Toruniu 23. xbra a. 97.— Jestto historya Narodz. z uwagami teologicznémi.

— 33. Odpis P. Adamowi z Bebelna Gosławskiemu Ministrobrońcy Nowochrzczeńskiemu, Chrystyanowi Dwóybożnemu uczyniony przez Andrzeja z Brzan Przewodowskiego R. P. 1609. w Krak. w Druk. Mikołaja Loba R. P. 1609. 4to (VIII.) str. 40.— Ded. do Stan. Żołkiewskiego Hetm. Kor. gdzie autor nazywa się żołnierzem z pod chorągwi jego. dat. w Brzanach 1. Stycz. 1609. X. Jakub Ostrowski wydał Obronę Kazania X. Skargi. Gosławski napisał refutacyą téj obrony przeciw temu ostatniemu pismu wymiérzony ten odpis:— więcéj po żołniersku jak teologicznie postępuje Prze-

wodowski, chociaż widać, że pismo S. wartował: dobrze napisane dziełko.

— 34. Dulia t. i. Nauka o Czci i wzywaniu świętych, katolickiego kościoła przez jednego kapłana Zakonu Ord. Min. de Observ. w Poznaniu w Drukarniey Jana Wolrába R. P. 1612. 4to ark. 3. — Na odwr. pod herb. 4wu. łac. ded. do Jana Roszkowskiego z Gorki Kasztel. Pozn. podp. Florian Kołęcki autor. — Dobra obrona czci używanéj w naszym kościele dowodami z Pisma S.

— 35. Dowod Zgody Ewangelickiéj, jako we wszystkich innych artikulech wiary katolickiey, tak y o sakramencie ciała y krwie Pańskiey, którym znosi się obwinienie katholikow Rzymskich twierdzących że się Ewangielicy z sobą w wierze niezgadzają, zebrany y spisany z pism ludzi uczonych przez Jana Tynieckiego z Tyńca. R. P. 1613. 4to str. 29. — Pracowicie zbiérane dowody, ale niezawsze prawdziwie i trafnie.

— 36. Foremna zgoda albo raczéy Istna Wrzawa między tymi, którzy się tych czasów Ewangielikami niewinnie nazywają, jako Lutherani, Zwingliani, Kalwinistowie ná sztych zgodzie Ewangielickiey, przez jakiegoś Jana Tynieckiego z Tyńca, zmyślonego i obłudnego obłudnie napisaney, y do druku podaney... przez Jana z Prus Gołubskiego (*pseudonym*: autor istotny jest Gasper

Savicki s. J. v. Sotvel p. 281.) w Krakowie w Druk. Lazarzowey Maciey Jędrzejowczyk. R. P. 1616. 4to (VI.) 30. str.— Uszczypliwa refutacya ale mniéj interessująca, bo żadnego Polaka niewymienia.

— 37. Zwierciadło jedności Boga Oyca Wszechm. y Syna Jego Jedynego y Ducha s. t. i. Boga w Troycy jedynego napisana p. Jana Petriciusa R. P. 1601. Przydana jest zaraz odpowiedź tegoż Jana Petriciusa, na odpis Stanisława Fernezego (przeciwko temuż zwierciadłu, które jeszcze do tego czásu w druku nie było) wydany (1. Cor. 13. r. 12.) w Krak. R. P. 1609. 4to (XII.) str. 83. Na odwr. pod herb. Zadora, 14wiérsz. Ded. do Adama, Samuela, Przecława Lanskoronskich, Marcina, Piotra, Cyrylusa, Andrzeja Chrząstowskich. dat we Włodzisławiu r. 1609. Daley pod herb. 18wiérsz. Ded. do Andrz. Olesznickiego Żupnika Krak. Nakoniec list. — Stanisław Farnezy a raczey Farnowski był ministrem w Sądeczu Wdztwie Krak. u nowokrzczeńcow, pisał wiele, jak wspominają Sandius i Lauterbach; ale pisma jego zaginęły. To dziełko, na które odpowiada Petricius wyszło r. 1607. Wystawia go nasz autor uczonym, w językach biegłym, ale niespokojnym.

— 38. Katechism álbo krótkie w jedno mieysce zebránie wiáry y powinności Krześcijáńskiey, z Pasterstwem zborowym y do-

mowym, z Modlitwámi, Psálmámi y Piosnkámi na cześć á chwałę Pánu Bogu, a Zborowi iego ku zbudowániu, teraz znowu zá pilnym przeyrzeniem y poprawieniem wydany. Nakłádem Jego M. Páná Janá Abráámowiczá ná Worniánách, Woiewody Smoleńskiego, Presidenta Derptskiego, Starosty Lidskiego y Wendeńskiego, etc. W Wilnie w Drukarni Jana Kárcaná, Roku Páńskiego. 1598. in 8vo str. n. l. 768. Na odwr. pod herbem Mikołaia Radziwiła Woiew. Wileń. 6wiérsz. dosyć zgrabny podpisał M. J. Przedmowa imieniem Zboru Wileńskiego (*Kalwińskiego*), w którey wydawca wykłada powody ogłoszenia tey książki:— «Swiadomyś dobrze czytelniku *Katechismow przedtym w Nieświżu drukowanych*, te teraz niektórzy podłuk dumy swey wynicowali, osobliwie aby stamtąd piosneczki o Bóstwie syna Bożego wyrzucili, których Katechismow iżeśmy w Zborze naszym, w niedostatku inszych w spiewaniu używali dla tegośmy w podeyrzenie aryaństwa byli przyszli, czegośmy zaprawdę winni niebyli, bo ci to broili, którzy jako drukarnią w swey mocy mieli tak co chcieli odmieniali i poprawiali. — Teraz, gdyśmy za staraniem JW. Mikołaja Radziwiła etc. do tey wolności przyszli, oteśmy się też naywięcey starali, jakobyśmy o nas temu niekrześciianskiemu podeyrzeniu zabieżeli, cośmy iuż o to uczynili gdyśmy ten Katechism od wszelkich podrzuconych wad oczyściony pod tytulem Zboru Wileńskiego

wydali, abyśmy też tym znak jednoty i porozumienia ze Zborami Polskiemi i Niemieckiemi pokazali, dla czegośmy też z *Katechismu Krakowskiego* do tego naszego wiele piosnek, tak o synu Bożym, jako o duchu S. z niektóremi psalmami przyłożyli, czymeśmy różności Katechismów y drogości ich nie pomału zabieżeli przytym:

Aby ona przed laty przyczytana wina,
Przez to święte złączenie zdjęła się z Litwina.

Masz też przytém porządek modlitw któreć będą mogły stanąć za ów *Hortulus*, rzkomo to *Ray duszny* i t. d."

Zawiéra się w téj książce Katechizm, potém modlitwy mające się używać w domu i w zborze następują, psalmy przebrańsze, których jest 74. Potem aż do końca piosnki, według rozdziału Katechismowego. — Porównać psalm 104. u Koch. wszędzie dodane są nóty: — niektóre psalmy są po dwa razy, w dwóch różnych tłumaczeniach. Jestto raczéy Kancyonał, jak Katechism, bo tu więcéj pieśni niż ascetyki.

SPISANIE RZECZY, W TOMIKU CZTÉRNASTYM ZAWARTYCH.